# DLACZEGO BRUCE LEE

Rozstrzygnięcie konkursu - str. 12

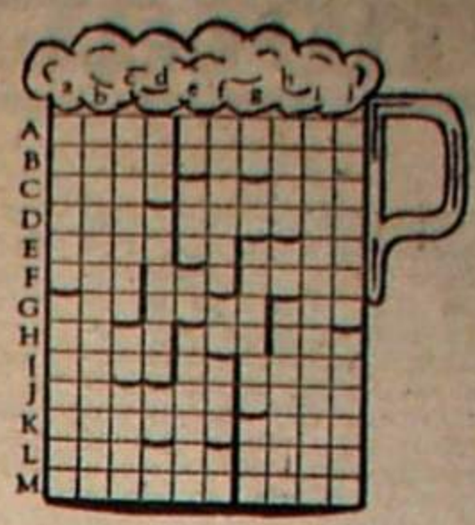


Krzyżówka - str. 11

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

# kamena

NR 5 (798) 26 lutego-10 marca 1984 CENA 10 ZŁ

## Drapacze chmur w Lublinie?

Waldemar Piasecki

DRUGA Polska nie zbudowana. Przemysł budownictwa i materiałów budowlanych wciąż czeka na lepsze jutro a plany budownictwa mieszkaniowego w ubiegłym roku nie zostały wykonane bodaj w żadnym województwie. W Lublinie, bo tego akurat miasta ma dotyczyć ten tekst, do niskiego planu 1900 nowych M-ileśtam zabrakło 252 lokali. W tym roku lublinianie mogą liczyć na 2148 mieszkań, w których ma się zmieścić także poślizg z 1983 roku. Jako ciekawostkę podajemy że ambicje miejskie sięgały nawet 3009 mieszkań.

Czy zatem ktoś, kto myśli w 1984 roku o czymś innym, niż „pudełka" technologii OWT, jest przy zdrowych zmysłach? A jeśli już przyjmiemy, że jest, to czym nas może do tego ewentualnie przekonać? Takie pytania zadawałem sobie, udając się do siedziby Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego „Spółdzielca", na spotkanie z... Tu może chwilę poczekajmy z personaliami.

• • •

Najpierw był telefon z Gdańska. Dzwonił kolega-dziennikarz:

— Słyszałem, że u was stawiają dwudziestopięciopiętrowe wieżowce mieszkalne. Znasz jakieś szczegóły? To może być temat na skalę krajową — sugerował.

— No, nie całkiem tak... Jest projekt budynku 21-piętrowego, który mógłby zostać powielony kilkakrotnie, co gwarantowałoby rentowność inwestycyjną. Na razie trwają pertraktacje z prezydentem o lokalizację.

— Też dobrze. A czyj projekt? Wasz, lubelski, czy warszawiaków?

— Nasz. Lubelskiego „Inwestprojektu". Mówią, że bardzo udany...

Tak się zaczęło. Zobligowany do przekazania bliższych szczegółów i ewentualnego skontaktowania kolegi z Gdańska z lubelskim „Spółdzielcą", zacząłem przyglądanie się sprawie.

Przyglądanie się zacząłem od zbierania informacji.

Mówi prezes jednej z największych lubelskich spółdzielni mieszkaniowych:

Dokończenie na str. 8—9

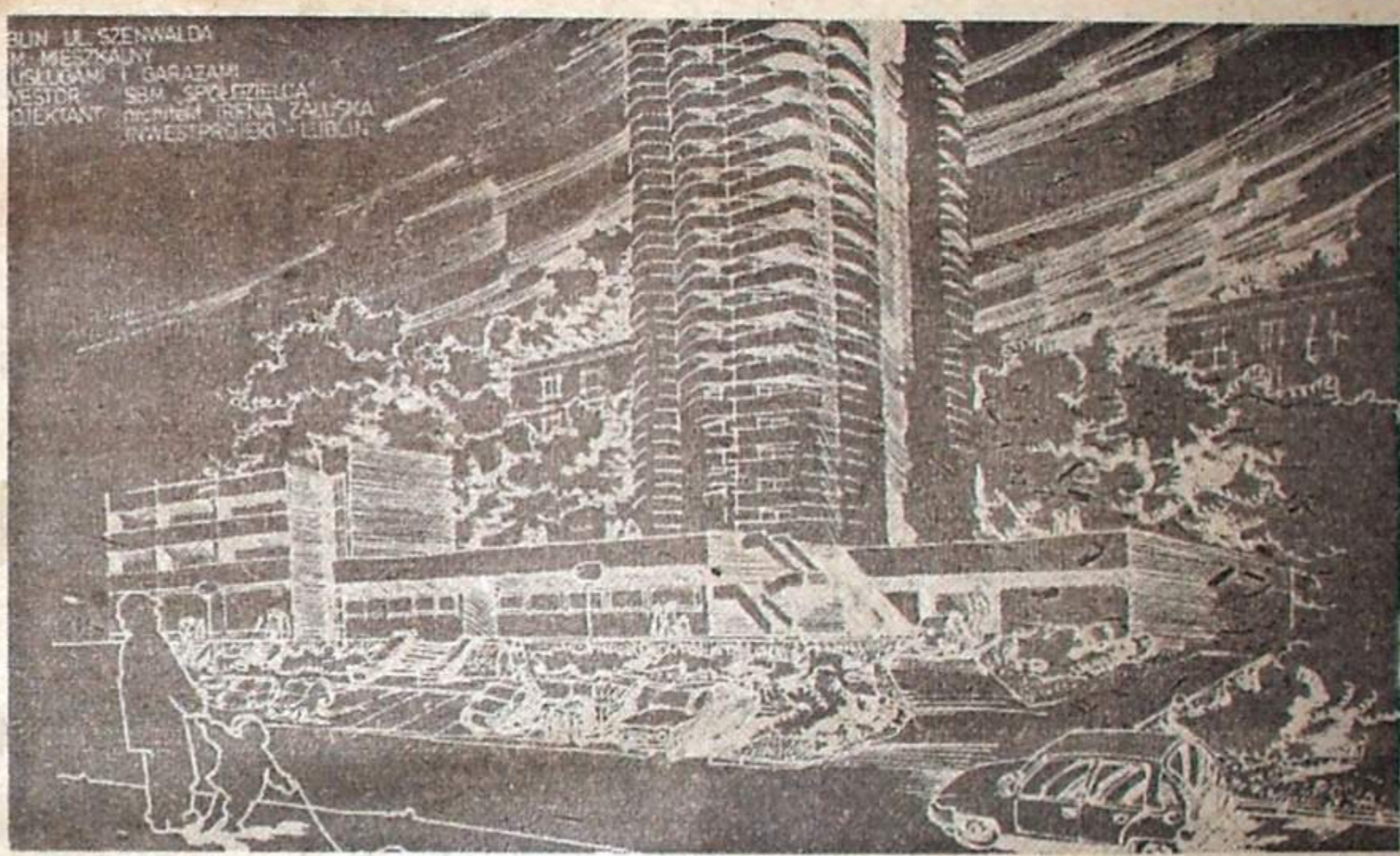


Pierwszy lubelski drapacz chmur? Projekt Ireny Załuskiej.
Repr. W. Stępień

## BILANS

Jan Szreniawski

CO można powiedzieć o minionej publicznej dyskusji nad przedstawionymi przez Radę Państwa założeniami do projektu ordynacji wyborczej do rad narodowych?

Była ona z pewnością twórcza i w zasadzie rzeczowa wniosła cały szereg nowych myśli. Objęła szerokie kręgi różnych środowisk i dowiodła, że społeczeństwo jest żywo zainteresowane problematyką wyborów.

Poprzednie wybory do rad nie wywoływały większych emocji ale tymczasem zmieniła się sytuacja polityczna w kraju. Mamy nową ustawę o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego która stwarza warunki dla samodzielnej pracy rad i podkreśla ich samorządowy charakter. Wyborcy są dziś bardziej zainteresowani doborem radnych zdając sobie sprawę z większych niż kiedyś możliwości działania rad na rzecz terenu, z inspiracyjnej nadrzędnej i kontrolnej roli wobec administracji. Musimy też otwarcie powiedzieć, że dotychczasowe formy wyborów niejednokrotnie mogły powodować pewien niedosyt u wyborców, osłabiać legitymizm wybranych rad oraz nie tworzyć więzi radnych z wyborcami. Stosunkowo mała możliwość decydowania przez rady o istotnych lokalnych sprawach również nie przyczyniała się do większego zainteresowania tą problematyką.

Można krótko wspomnieć, że rady narodowe do 1954 r., ze względu na trudną sytuację polityczną, gospodarczą i społeczną tworzone były: w drodze delegowania w ich skład określonych osób przez ugrupowania polityczne organizacje społeczne zawodowe młodzieżowe kulturalne itp. stojące na gruncie postępowych przemian ustrojowych; na zasadzie kooptacji przez same rady części członków spośród wyróżniających się i zasłużonych działaczy politycznych gospodarczych wojskowych naukowców artystów specjalistów określonych dziedzin; przez wewnętrzne delegowanie z rady niższego do rad wyższego stopnia. Ustawa z 1950 r. o terenowych organach jednolitej władzy państwowej, a następnie Konstytucja PRL z 1952 r. zapowiedziały tworzenie rad narodowych przez wybory.

Zgodnie z ordynacją wyborczą z 1954 r. liczba zgłaszanych przez organizacje społeczne i polityczne kandydatów do rad nie mogła przekraczać liczby radnych wybieranych w danym okręgu. Wyborcy mogli głosować za lub przeciw określonemu programowi.

Dokończenie na str. 10

# z notatnika

**12 II.** W „Kierunkach" — dalszy ciąg dziennika Jerzego Zawieyskiego. Pod datą 11 października 1957 r. przeczytałem: „Piekłem tego dnia było to, że w „Tygodniku Powszechnym" nie zamieszczono recenzji z „Sokratesa". Sztuka idzie w Krakowie już przeszło miesiąc, pisma marksistowske zdążyły już dokładnie i doszczętnie sztukę zjechać — tylko „Tygodnik Powszechny", organ ideowy, z którym jestem związany członkostwem redakcji — milczy. Nie pierwszy to wypadek niedostrzegania mojej literatury przez przyjaciół z Tygodnika. [...] Jak mam to rozumieć? Dla Tygodnika nie jestem pisarzem, o którego utworach należy informować. Za to o każdym pisarzu zagranicznym, o każdej modzie i nowostce — znajdują się pilnie opracowywane wzmianki i artykuły. Snobizm Turowicza dyskwalifikuje go jako redaktora katolickiego pisma. Jego smaki kierują się ku współczesnej literaturze czarnej. Wygląda na to, jakby wstydził się kultury katolickiej, wyrażanej w sztuce i jakby miał programową niechęć do tego, co dzieje się w Polsce. Moja osobista sprawa ma znaczenie obiektywne. O czymś świadczy, gdyby nie względy polityczne, wycofałbym się z hałasem zarówno z Tygodnika, jak i ze „Znaku"...

**14 II.** 9 lutego zmarł Jurij Andropow, sekretarz generalny KC KPZR. Helmut Schmidt nazwał go „rosyjskim komputerem" (o Breżniewie mówił: „rosyjska dusza"). Andropow krótko piastował swe stanowisko, a przecież jednocześnie zmagał się z nieuleczalną chorobą. Jego nieobecność na uroczystościach rocznicy Wielkiego Października można było traktować jako chwilową niedyspozycję, ale nie wziął on również udziału w późniejszej sesji Rady Najwyższej...

W krajach socjalistycznych mało się zna prywatne życie czołowych osobistości, w krajach kapitalistycznych wchodzi się często w to życie z buciorami. Osobiście sądzę, że warto by tu wypośrodkowywać, chociaż zawsze należy zachowywać umiar (przypomniał mi się pokazywany kiedyś w telewizji film o Edwardzie Gierku, a zwłaszcza sielankowe obrazki nad jeziorem, ale to dygresja).

Następca Andropowa na stanowisku sekretarza generalnego KC KPZR, Konstantin Czernienko, powiedział o nim: „Będzie nam go wszystkim bardzo brakowało. Odszedł w kulminacyjnym momencie wielkiej, pełnej napięcia pracy, zmierzającej do tego, by nadać potężne przyspieszenie rozwojowi gospodarki narodowej, przezwyciężyć trudności, z którymi zetknął się kraj na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Ale wszyscy wiemy, jak wiele udało się dokonać partii w tym krótkim czasie, jak wiele tego, co nowe i owocne, otrzymało prawo obywatelstwa i ugruntowało się w praktyce. Kontynuowanie i rozwijanie wspólnym wysiłkiem pracy rozpoczętej pod kierownictwem Jurija Andropowa — to najlepszy sposób należytego uczczenia jego pamięci, zapewnienia ciągłości w polityce".

Warto tu odnotować opinię George McGoverna, który z nominacji partii demokratycznej chciałby kandydować na stanowisko prezydenta USA: „Jest współczesną tragedią, że jeden z najbardziej inteligentnych i realistycznych przywódców Związku Radzieckiego pełnił urząd i zmarł w okresie administracji najgorzej poinformowanego i najniebezpieczniejszego człowieka, jaki kiedykolwiek zasiadał w Białym Domu".

Znamienne to słowa!

**15 II.** Myślałem, że uda nam się przedrukować w „Kamenie" interesujący artykuł z paryskiego tygodnika „L'Express" omawiający analizę instytutu badania opinii publicznej Gallupa, który starał się odpowiedzieć na pytanie: „Jakimi rodzicami są współcześni Francuzi". Czas jednak leci (artykuł ukazał się w n-rze z 23 grudnia ub. r.) i nie wydaje się, abyśmy mogli znaleźć miejsce na publikację. Dlatego też ograniczę się do zacytowania kilku pytań z sondażu i podania odpowiedzi (w procentach ogółu ankietowanych). Ażeby zaoszczędzić miejsca informuję, że pierwsza liczba oznacza NIGDY, druga — RZADKO, trzecia — CZASEM, a czwarta — CZĘSTO.

— Czy pozostawiacie płaczące dziecko w łóżku, bo powinno jeszcze spać? 50 proc., 17 proc., 24 proc., 8 proc.

— Czy nalegacie, aby dziecko zjadło do końca to, co ma na talerzu? 41 proc., 11 proc., 22 proc., 25 proc.

— Czy dajecie mu pieniądze albo wynagradzacie za dobrą pracę? 26 proc., 10 proc., 45 proc., 17 proc.

— Czy zakazujecie dziecku oglądać pewnych audycji telewizyjnych? 21 proc., 11 proc., 36 proc., 29 proc.

— Czy zakazujecie dziecku kontaktów z kolegami, którzy wam się nie podobają? 54 proc., 16 proc., 24 proc., 3 proc.

— Czy pytacie w jaki sposób wydało swe pieniądze? 82 proc., 7 proc., 4 proc., 4 proc.

— Czy poruszacie z nimi problemy seksualne? 27 proc., 26 proc., 36 proc., 9 proc.

— Czy odrabiacie z dzieckiem lekcje? 6 proc., 9 proc., 16 proc., 67 proc.

Powtarzam: 67 proc. rodziców, biorących udział w sondażu, pomaga CZĘSTO swoim dzieciom w odrabianiu lekcji. NIGDY nie pomaga zaledwie 6 proc.

Ciekawe, jakby tego typu sondaż wypadł w Polsce. A może Czytelnicy „Kameny" podzielą się z nami swymi uwagami?

Na razie dziękuję za listy pp. Andrzejowi Mejnartowiczowi z Puław i Pawłowi Widomskiemu z Lublina. Tematy są interesujące i listy zamieścimy w następnym numerze. A przy okazji informuję, że następny numer ukaże się w objętości 16 stron i w większości będzie poświęcony problemom kobiecym: 8 Marca tuż, tuż...

**16 II.** „Z metryką urodzin w ręku młody solenizant podróżuje bezpłatnie" — głosi jeden ze sloganów reklamowych Niemieckiej Kolei Federalnej. Jest to całkiem dobry pomysł: w miesiącach letnich młodzież w wieku do lat 16 może w dniu swoich urodzin podróżować zupełnie bezpłatnie po wszystkich trasach kolejowych w RFN i na dowolnych dystansach. Ich dorośli goście urodzinowi płacą wówczas 50 proc. normalnej ceny biletu. Poinformowało o tym pismo „Profil".

Nie widziałbym żadnych przeszkód, by Polskie Koleje Państwowe kupiły ten pomysł. Obawiam się jednak, że owych dorosłych gości urodzinowych byłoby tylu, że należałoby rezerwować dla nich specjalny wagon!

Inna rzecz, że koleje w RFN do najtańszych nie należą. Bilet ekspresowy pierwszej klasy z Monachium do Frankfurtu (prawie 500 km) wraz z miejscówką kosztuje ok. 130 marek. Ale płaci się też za luksus!

**17 II.** Za osiedlem LSM im. Sienkiewicza rośnie osiedle Czuby. Między jednym a drugim osiedlem znajdują się piękne topole. Jedna z tych topól już straszy kikutem, budowlańcy drzew zbytnio nie szanują. Może warto im przypomnieć, że za niszczenie starych drzew płaci się kary i to dość solidne? Szkoda też małych drzew owocowych. Zapewne nie dawały one zbyt wartościowych jabłek czy śliwek, ale zawsze było coś zielonego.

Zasadzimy nowe? Owszem, ale dla wnuków!

**18 II.** Zachęcam do czytania miesięcznika kadry kierowniczej przedsiębiorstw „Zarządzanie" (adres redakcji dla zainteresowanych i tam też szczegóły: Warszawa, ul. Madalińskiego 57/33, tel. 49-39-63). Oczywiście nie zachęcam jedynie z uwagi na artykuł Wincentego Balasińskiego, który znalazłem w 12 n-rze (otrzymałem go niedawno). Ale Balasiński pisze o tzw. perkwizytach, czyli ubocznych dochodach otrzymywanych jako dodatek do uposażenia. Dyrektorskie benefisy powstały w USA, ale Japonia szybko podjęła ten pomysł. W 1980 r. japońscy dyrektorzy wydali astronomiczną kwotę 11,8 mld dolarów na rozrywki i podarunki. Benefisy japońskich dyrektorów są wyższe od ich wynagrodzenia. Typowy akwizytor reklam TV ma w budżecie miesięcznym 4000 dolarów tylko na rozrywki dla klientów. Wiele z tych pieniędzy pozostaje w dzielnicy Ginza w Tokio, gdzie znajdują się restauracje przeznaczone wyłącznie dla dyrektorów zabawiających swych gości.

Przegląd 222 firm brytyjskich wykazał, że 98 proc. spośród nich kupuje wozy naczelnym dyrektorom. Niektóre firmy brytyjskie zamierzają oferować emerytury w wysokości 2/3 wynagrodzenia już po 10 latach służby (oczywiście tylko dla dyrektorów).

W Belgii dyrektor otrzymuje często trzy wozy: jeden ściśle służbowy, drugi do celów prywatnych i trzeci dla współmałżonka.

Z przeglądu 2600 firm w południowej Kalifornii (USA) wynika, że 10 proc. dyrektorów ma prywatne odrzutowce lub inny transport lotniczy, mniej niż 5 proc. ma zapewnioną ochronę mieszkań, a 1 proc. — ochronę osobistą.

Maciej Szczepański, b. szef polskiej TV, miał możność jeżdżenia trochę po świecie... Jego przykład stanowi jednak pewne ostrzeżenie dla innych naszych menadżerów, którzy chcieliby widzieć tylko jedną stronę medalu...

**19 II.** Przed kilkoma dniami „Słowo Powszechne" (TV również) doniosło: „W poniedziałek wielką sensację w Sarajewie wywołało przybycie polskiego cyklisty Andrzeja Obalskiego. 31 stycznia wyjechał on z Krakowa i trasą przez Budapeszt i Belgrad 12 bm. dotarł do miasta XIV Zimowych Igrzysk Olimpijskich. Kiedy drogi do stolicy zimowej olimpiady zostały zasypane śniegiem i w olbrzymich korkach utknęły tysiące samochodów, dzielny cyklista poradził sobie ze wszystkimi trudnościami. W centrum prasowym Skenderija oblegany był przez reporterów prasy, radia i TV jugosłowiańskiej. Za cztery lata pan Obalski wybiera się na zimowe igrzyska do Calgary."

Na kolarskie mistrzostwa świata powinien w przyszłości pojechać narciarz, na deskach, oczywiście. Byłby to też jakiś sukces: lato, a tu polski narciarz zasuwa po asfalcie...

O igrzyskach w Sarajewie pisać się nie chce. Trzypunktowy „dorobek" to więcej niż blamaż. Prasa (nie tylko sportowa) będzie mieć temat na najbliższe tygodnie, odezwą się zapewne i zawodnicy i działacze, znajdzie się dziesiątki, jeśli nie setki, argumentów, dlaczego było tak, a nie inaczej. Wykonaliśmy ponoć plan minimum, zdobywając wspomniane trzy punkty — tak przynajmniej usłyszałem przed chwilą w TV. Pocieszono nas również że taka potęga sportów zimowych, jak Austria, zdobyła tylko jeden medal i to brązowy...

O sukcesach NRD i ZSRR nie wspomnę, przyzwyczailiśmy się do nich. Ale nasi przyjaciele z południa, z Czechosłowacji, też mają się czym pochwalić. Grzegorz Filipowski jeździ trenować do USA, ale mimo tego zajmuje miejsce w drugiej dziesiątce. Może lepiej, by nasi działacze, trenerzy i sportowcy jeździli po naukę nieco bliżej, za miedzę?

Nie wiem, czy któryś z wodzów od naszych sportów zimowych poda się teraz do dymisji, czy mu starczy na to odwagi. Ale byłby to powód do złożenia gratulacji...

Specjalny wysłannik „Słowa Powszechnego", Żuk, pisze: „... dlaczego nasze panie nie startują w biegach płaskich na 10 km? Są to błędy szkoleniowe. Gdyby, powiedzmy, dawano cytryny w miejscowościach odległych od Warszawy, Poznania, Krakowa czy innych miast o 10 km i ogłoszono, że pierwsza gospodyni, która przybiegnie na nartach, będzie mogła kupić 5 kilo cytryn, druga 3, a trzecia — półtora, sport narciarski stanąłby u nas na poziomie. Stałby się sportem masowym..."

Pożartować można. Ale po to nie trzeba jechać do Sarajewa!

**M. A. Jaworski**

**Naszej Koleżance, Ewie Dybek, wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci**

**OJCA**

**składa zespół „Kameny"**

# Konkurs „Kameny"

Redakcja „Kameny" ogłasza ogólnopolski konkurs w dwóch działach:

1) WSPOMNIEŃ (PAMIĘTNIKÓW), które pod względem chronologicznym obejmować mogą dowolnie wybrane przez autorów okresy (tygodnie, miesiące, lata) istnienia Polski Ludowej — od początków formowania się nowej rzeczywistości państwowej w 1944 roku, przez lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, aż do czasów współczesnych. Konkurs ma charakter otwarty. Prace powinny przedstawiać osobiste doświadczenia życiowe, przemyślenia i refleksje — wprost lub pośrednio powodowane czy kształtowane przez wydarzenia ważne w skali kraju albo w wymiarze lokalnego środowiska społecznego. Inaczej mówiąc: organizatorom konkursu chodziłoby o pozyskanie takich prac, które komponowałyby się w Polaków portret własny: tyle subiektywny, właściwy dla indywidualnego przeżywania świata i własnej w nim obecności, co obiektywny, bo zależny od procesów ogólniejszych, także historycznych. Przede wszystkim oceniane będą: szczerość wypowiedzi i merytoryczna zawartość wspomnień, a nie ich jakość literacka.

2) REPORTAŻU — napisanego wyłącznie przez osoby uprawiające zawód dziennikarski. Prace powinny eksponować istotne problemy polskiego życia współczesnego: społecznego, politycznego, kulturalnego i gospodarczego, ujmując je w perspektywie doświadczeń jednostek, rodzin, grup zawodowych, zakładów pracy itp. Chodziłoby przy tym o reporterski zapis tych wszystkich przeobrażeń w sferze ludzkiej świadomości, które sprzyjają wyprowadzaniu kraju z kryzysu lub — z drugiej strony — proces ten utrudniają. Organizatorzy konkursu zainteresowani są ponadto reportażami przedstawiającymi motywacje, przebieg i skutki konkretnych przedsięwzięć na rzecz dobra zbiorowego, realizowanych w dowolnych środowiskach społecznych.

Prace podpisane godłem i zaopatrzone w zamkniętą kopertę z nazwiskiem autora, o objętości nie przekraczającej 15 stron znormalizowanego maszynopisu (w dziale wspomnień przyjmowane też będą czytelne rękopisy), należy przesyłać pod adresem redakcji (ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin) do dnia 15 maja 1984 roku (obowiązuje data stempla pocztowego). Liczba prac jednego autora — nie ograniczona. Wyniki konkursu ogłoszone zostaną w terminie do 30 czerwca br. W każdym z działów ustala się następujące nagrody:

I — 25 tys. zł,
II — 20 tys. zł,
III — 15 tys. zł

oraz pięć wyróżnień w wysokości 8 tys. zł każde.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału kwoty przeznaczonej na nagrody i wyróżnienia.

Prace wybrane przez redakcję będą publikowane na łamach „Kameny" i honorowane według obowiązujących stawek autorskich. Respektowane będą ewentualne życzenia autorów wspomnień, dotyczące nieujawniania ich nazwisk w druku.

## Pamięć własna (5)

# Wrzesień 1939. W Rumunii

**Czesław Bobrowski**

MOJE przewidywania co do groźby wybuchu i losów ewentualnej wojny nie różniły się od przeciętnych. Byłem — a podobnie miały się sprawy z większością moich kolegów — tak zaabsorbowany pracą, że na przykład nieraz zdarzało mi się rozpoczynać pisanie artykułu do „Gospodarki Narodowej" dopiero o północy (tylko w okresie CUP-u pracowałem więcej). Środowisko nasze dysponowało ogromną ilością tzw. informacji z wewnątrz dotyczących spraw gospodarczych, mniej już społecznych, ale zupełnie nie miało dostępu do spraw polityki międzynarodowej, ani chyba zainteresowania. Wyprawa na Zaolzie nie wywołała w moim środowisku entuzjazmu (nie czuliśmy ani legionowej niechęci do „Pepików", ani krakowskiego lekceważenia), ale dla wielu wydawała się być wskazówką na istnienie stosunkowo dogodnej sytuacji wobec Niemiec. Innym pozornym potwierdzeniem tego było odprężenie w stosunkach z Litwą. Jako jeden z pierwszych kroków w tym kierunku zorganizowany został rajd automobilowy na Litwę, w którym wzięli udział nie sportowcy, lecz wyżsi urzędnicy i działacze. Wydawało mi się, że atmosfera życzliwości, jaka zapanowała wówczas po przełamaniu pierwszych lodów, była wyrazem zaufania Litwinów do pozycji Polski. Jak większość w Polsce, przeceniałem znaczenie militarne Francji, ale chyba wszyscy, z wyjątkiem Adolfa Hitlera, popełniali ten błąd. O polskiej słabości wojskowej przekonałem się w czasie przebiegu kampanii wrześniowej, ale bliższe wyjaśnienie tego faktu znalazłem dopiero po dwóch latach w rozmowach prowadzonych z pułkownikiem Jakliczem w Grenoble. Ten oficer, odpowiedzialny za przygotowanie planów obrony przed Niemcami, nie ukrywał, że były one opracowane z ogromnym opóźnieniem, pospiesznie i powierzchownie, bowiem punkt ciężkości zainteresowań spoczywał na tym, co nazywano — jeśli mnie pamięć nie myli — „wariantem Wschód". Dyskretnych aluzji ministra Poniatowskiego, który, jak dowiedziałem się później, został poinformowany przez Becka, iż nawet ten ostatni został wprowadzony w błąd przesadnymi informacjami o zdolności obronnej Polski, po prostu nie odczytaliśmy. Psychologicznie i intelektualnie wojna była zaskoczeniem dla wielu, a w każdym razie dla mnie.

### Pierwszego dnia

znalazłem się w moim biurze z zadaniem wykonywania przydzielonego mi planu „gromadzenia". Doręczono mi grube tomy i zaczęły napływać meldunki z terenu. Równocześnie nadchodziły meldunki z frontu. Nastrój pierwszych godzin z pewnością nie był pesymistyczny, a powiew solidarności narodowej i międzyludzkiej był czymś wręcz oszałamiającym. Dla przykładu taki oto drobiazg: byłem po kilku godzinach pracy, gdy zjawił się w moim gabinecie na Senatorskiej jeden z kelnerów z „Małej Ziemiańskiej", w której byłem cotygodniowym gościem, komunikując mi, że dopóki to będzie potrzebne, będą nam przynosić co parę godzin kilka dzbanków kawy, aby tym sposobem mieć jakiś udział w naszej pracy.

Pierwsze naloty były niczym w porównaniu z tym, co Warszawa miała potem oglądać, niemniej zrobiły na nas duże wrażenie. Chcąc rozładować atmosferę, ale także dając wyraz własnej reakcji, powiedziałem w sekretariacie, gdzie za biurkiem siedziała moja ówczesna sekretarka już w bardzo zaawansowanej ciąży: „Będzie wielu zabitych, lecz wy to odrobicie. No a straty materialne, te oczywiście będą bardzo poważne, ale po prostu trzeba będzie zacisnąć pasa po skończonej wojnie".

Złudzenia co do pomyślnego zakończenia wojny nie rozwiały się całkowicie, nawet kiedy po kilku dniach minister wyjechał do Lublina, a wybrani pracownicy ministerstwa do Puław. Ja wyjechałem swoim fiatem o jeden dzień później, a miarą tego, co wówczas myślałem, może być fakt, iż nie zabierałem ani piesków, ani kanarków (których zresztą nie miałem), ale futro mojej żony i moje — mieliśmy przecież spędzić surową zimę gdzieś pewnie w Łucku czy Równem. Nie wiedząc, co robić, postanowiłem jeździć od cukrowni do cukrowni, od bekoniarni do bekoniarni itp. i uchylać wielkie „plany", a po prostu zlecić nie tyle nawet ewakuowanie zapasów na wschód, co rozdawanie ich w miarę cofania się wojsk polskich. W konsekwencji exodus w kierunku granicy rumuńskiej odbyłem w sposób specyficzny: jadąc zygzakiem i przebywając podwójną drogę. Mój obraz wędrówki do granicy jest tym samym nieco inny od tylekroć już opisywanych we wspomnieniach. Różnica polega głównie na tym, że miałem skromne, ale konkretne zadanie do wykonania, co broniło mnie przed zrozumiałą w tych warunkach paniką czy depresją psychiczną. Kiedy po drodze w którejś wsi zacząłem myć mój samochód, miejscowi chłopi, a także przejeżdżający tą drogą zakurzonymi samochodami uciekinierzy, wszczęli gwałtowne protesty, „bo taki samochód ściągnie bombardowanie".

Nie pamiętam, kiedy skrzyżowałem się z jadącą główną drogą kolumną policjantów, podobno pod wodzą generała Zamorskiego. Na drodze powstał zator. Starałem się go rozładować, pełniąc z kimś jeszcze funkcję „ochotniczej służby ruchu". Ale okazało się to mało skuteczne, dopiero kolumna policji załatwiła sprawę w 10 minut: w przydrożnych rowach znalazło się kilkanaście brutalnie zepchniętych samochodów. Bodajże w Tarnopolu przy gmachu województwa na podwórzu palą się archiwa. Po drodze spotkałem wojewodę lwowskiego Biłyka w stanie skrajnej depresji. „Dlaczego pan wojewoda nie jest we Lwowie?" — pytam. „Nie mogę, nie mogę, mam bardzo ważną misję" — Biłyk wręcza mi bilet wizytowy, na którym pisze dla mnie upoważnienie do „przejęcia" władzy w województwie lwowskim. Do Lwowa nie dojechałem i po dzień dzisiejszy nie wiem, jaką misją obarczono legionistę ślepo posłusznego szefom. Może był to transport złota z Banku Polskiego? Spotykając w dwa czy trzy dni później dwie warszawskie ciężarówki załadowane pięknymi meblami, pomyślałem złośliwie, że może to właśnie jest misja Biłyka. W każdym razie w kilka dni później, po przekroczeniu granicy węgierskiej, nieszczęsny wojewoda popełnił samobójstwo. Każdy, kto był świadkiem lub uczestnikiem tych zdarzeń, może cytować wiele tragicznych lub hańbiących scen. Ja osobiście miałem się zetknąć ze szczególnie hańbiącym zdarzeniem kilka dni później.

W niespełna dwa tygodnie po rozstaniu się w Lublinie z ministrem Poniatowskim spotkałem się z nim we wsi nad granicą rumuńską. Poniatowski przez ten czas nie był bezczynny, oczywiście w płaszczyźnie politycznej nie gospodarczej. Podjął lansowaną przez siebie poprzednio koncepcję rządu koalicyjnego, być może już nierealistyczną, a w każdym razie odrzuconą. Przy dalszym pogłębianiu się klęski stanęła sprawa, co ma się dziać w kraju po jego nieuchronnej już okupacji. Poniatowski pojechał do Śmigłego, wówczas jeszcze bawiącego w Brześciu, i przedstawił mu koncepcję przygotowania ruchu oporu opartego o organizacje młodzieżowe (w akcji tej rola organizatorska miała w znacznej części przypaść Józefowi Krzyczkowskiemu). Koncepcja ta została odrzucona, dopiero w sporo dni później Śmigły powrócił do niej, z tą jednak zmianą, iż główna rola miała być powierzona majorowi Galinatowi z Legionu Młodych, stojącemu na czele tworzonej przez OZON nowej organizacji młodzieżowej. Nic z tego nie wyszło, choćby dlatego, że w kilka dni później w Warszawie misję Galinata przekreślił generał Rómmel.

Skądinąd Poniatowski zaproponował, iż pojedzie do jednego z miast wojewódzkich (chyba chodziło o Wilno), aby spełnić tam rolę, jaka w Warszawie spełnił prezydent Stefan Starzyński. Propozycja została odrzucona (o ile wiem, poparł ją tylko jeden z ministrów), obawiano się bowiem, że w opinii publicznej rząd zostanie podzielony na lepszych, którzy zostali w kraju, i gorszych którzy byli już zdecydowani przekroczyć granicę. Formalna decyzja w tej sprawie zapadła chyba na posiedzeniu w jakiejś willi. Jako kierowca ministra Poniatowskiego (benzyny było brak, a mój fiat spalał o połowę mniej niż ministerialny samochód), oczekiwałem go wraz z Krzyczkowskim na schodkach willi, skąd mieliśmy ruszyć do mostu granicznego.

Dojeżdżając do mostu, mieliśmy wraz z Krzyczkowskim i Józefem Poniatowskim, stryjecznym bratem Juliusza, już powziętą decyzję nieprzekraczania granicy. Do naszej trójki chciał przyłączyć się znacznie od nas starszy naczelnik wydziału administracyjnego czy finansowego ministerstwa rolnictwa, Herdin. Początkowo sprzeciwialiśmy się temu, ale wobec jego oświadczenia: „Jeśli tego nie zrobię, to moi synowie mi nigdy nie darują", musieliśmy ustąpić. Pożegnaliśmy się z Juliuszem Poniatowskim, który wręczył mi złotą dziesięciorublówkę („przyda się panu pod okupacją"), podobnie jak w Warszawie przy wyjeździe obdarzył mnie rewolwerem (zresztą zgubiłem go gdzieś po drodze). Z tego okresu pamiętam inny jeszcze gest Poniatowskiego. Otóż wyjeżdżając z Równego, gdzie pozostały wszystkie żony towarzyszących mu urzędników i jego własna córka Barbara, później żołnierz Batalionów Chłopskich (zginęła w czasie okupacji), zdecydował, że wobec mojej nieobecności w Równem zastąpi mnie moja żona, która w konsekwencji towarzyszyła mu aż do Rumunii.

Jadąc moim opatrznościowym samochodem na północ, prawie już pustą drogą, zastanawiałem się, czy lepiej będzie znaleźć się pod okupacją niemiecką, czy na terenach zajętych przez Armię Czerwoną. Nie pamiętam, co wydało mi się lepsze. I oto wjeżdżamy do Kołomyi, oazy spokoju i porządku. Miasto jest ciche, nie ma przewalających się mas uciekinierów, wszędzie patrole wojskowe. Ich posterunek zatrzymuje nas i poleca zgłosić się do dowództwa. Major X oświadcza, iż spartanie z batalionu marszowego któregoś pułku piechoty walczyć będą do ostatniego żołnierza bez względu na to, czy przyjdzie walczyć z tymi, czy innymi wojskami. Dzięki wcielaniu żołnierzy pozostających w rozsypce, batalion ma podwójny czy nawet potrójny stan, ale brak mu oficerów. Moi towarzysze są oficerami rezerwy, doświadczonymi jeszcze z wojny. Józef Poniatowski otrzymuje więc dowództwo kompanii. „A pan?" — zwraca się do mnie nasz dowódca. Jest niezadowolony, gdy odpowiadam, że jestem tylko starszym strzelcem pospolitego ruszenia, bez broni. Ale twarz mu się rozjaśnia, gdy okazuje się, że mam samochód. „Umundurujcie się i będziecie moim osobistym kierowcą. Spać w samochodzie przed moją kwaterą". Przespałem tam tylko jedną noc, bowiem budząc się stwierdziłem, że... majora już nie ma. Widać znalazł się inny samochód. Nie pozostało nam nic innego, jak jechać w kierunku mostu, z którego właśnie powróciliśmy do Kołomyi. Naszej eskapadzie zawdzięczałem poczucie, iż opuszczenie kraju zostało mi narzucone przez wypadki, a ponieważ wraz z Krzyczkowskim odnaleźliśmy w kufrze samochodu nasze cywilne ubrania, oszustwo majora nie kosztowało nas nic. Natomiast Poniatowski ze swoją kompanią udał się do obozu internowanych, gdzie z właściwym mu poczuciem obowiązku pozostał póty, póki ostatni żołnierz nie opuścił obozu.

Skończył się dla mnie dwudziestodniowy polski etap wojny, zaczął się czteromiesięczny etap rumuński.

### Po rumuńskiej stronie

granicy próbowaliśmy się dowiedzieć, gdzie udali się koledzy z ministerstwa. Wymieniono nam kilka miejscowości, w tym „Gura Humorului". Nazwa ta skusiła nas ze względu na fonetyczną zbieżność ze słowem „humor", którego nie mieliśmy za dużo, i był to szczęśliwy zbieg okoliczności, gdyż nawiązaliśmy tam poszukiwane kontakty. Zaczęło się przystosowywanie do warunków i zadań, jakie narzuca sytuacja anormalna. Zorganizowaliśmy pomoc techniczną dla rumuńskiego urzędu wydającego przepustki do Bukaresztu, co przyspieszyło procedurę, ale przede wszystkim pozwoliło wydać tych przepustek wielokrotnie więcej, niż było pozytywnych decyzji. Po paru dniach wyjazd do Slanic. Odosobniony hotel, pierwszy etap internowania rządu. Zachowanie się pełne godności cechowało nie tylko sympatycznych mi ministrów: Poniatowskiego, Kwiatkowskiego i Świętosławskiego, ale także Becka i Składkowskiego, dla których nie żywiłem sympatii. Na odwrotnym biegunie postawiłbym ministra spraw wojskowych — Tadeusza Kasprzyckiego, wsławionego tym, że w czasie negocjacji z Francuzami oświadczył, iż męstwo żołnierza polskiego skompensuje braki uzbrojenia. W dniu wybuchu wojny — jak powszechnie było wiadomo — generał Kasprzycki znajdował się w Zakopanem, nadzorując budowę swej willi.

Kolejnym etapem był Bukareszt i pytanie, co dalej? Jak wszyscy, zgłaszam się do armii polskiej mającej powstać we Francji, ale dowiaduję się od pułkownika Zakrzewskiego (po wojnie pracował w aparacie CKW PPS), że z moimi kwalifikacjami wojskowymi będę na ostatnim miejscu w kolejce wyjazdów do Francji. Spotykam przypadkiem pułkownika Kowalewskiego, którego poznałem w Moskwie, gdzie był attaché wojskowym. Tutaj przewodniczył on jakiemuś komitetowi, którego ani składu, ani roli już nie pamiętam. Na jego prośbę podejmuję się „zwiadu" w konsulacie radzieckim, aby dowiedzieć się czegoś o losach Polaków na terenach zajętych przez Związek Radziecki. Pretekstem mojej wizyty jest pytanie o możliwości korespondowania z bliskimi. Wicekonsul podejmuje się wyjaśnić sprawę, ale ma to potrwać wiele tygodni. Kiedy w rozmowie wypływa, iż znam Moskwę z okresu pracy w „Sowpoltorgu", wicekonsul mnie z kolei zadaje pytanie, dlaczego nie wyjeżdżam do Związku Radzieckiego? Odpowiadam, że dopóki wierzę w odrodzenie Polski, dopóty widzę siebie tylko w kraju. A może się jeszcze okazać, że i Związek Radziecki weźmie udział w wojnie. Zamyka to rozmowę.

O dalszym moim losie zadecydował przypadek, a mianowicie — spotkanie z zespołem kierownictwa warszawskiej YMCA, a w szczególności z Amerykaninem panem Superem. Zostałem wciągnięty do pracy w YMCA, która zajmowała się organizowaniem opieki nad obozami wojskowymi (a z czasem bodajże i nad cywilnymi uchodźcami), działając po kilku tygodniach wspólnie z angloamerykańską akcją pomocy dla Polaków prowadzoną chyba przez kwakrów. Materialnie załatwia to sprawę — nie muszę jeszcze sprzedawać samochodu, który miał być ostatnią deską ratunku. Mogę dzięki temu podróżować po całej Rumunii i opłacać oficerów policji niezbędnych dla uzyskania prawdziwej lub zręcznie fałszowanej przez nich przepustki. Przy okazji moich podróży Krzyczkowski i dwaj jego towarzysze, którzy zamierzają powrócić do kraju, zbierają po obozach sprzęt radiotelegraficzny, który może się przydać w ruchu oporu. Z pozoru więc sytuacja to pozwala spokojnie czekać na wyjazd do Francji.

Tak by zapewne było, gdyby nie ambasada RP, na której czele stał od kilku miesięcy Roger Raczyński. Znałem go dobrze, gdyż zgodnie z obowiązującym kluczem, ten poznański ziemianin był przez kilka poprzednich lat wiceministrem rolnictwa. Nie wspomniałem o nim poprzednio, gdyż w ministerstwie ten pan był niezauważalny — podobno miał spore zainteresowania kulturalne, a na pewno duże — używaniem życia. Nagle z klęską wrześniową obudził się w Raczyńskim lew, a może zresztą była to tylko lwia skóra, za którą krył się bardziej dynamiczni współpracownicy ad hoc: Giedroyć (obecny redaktor paryskiej „Kultury") oraz Bohdan Łączkowski (były szef gabinetu premiera Kościałkowskiego, przyszły autor panegirycznej książki o Salazarze). W każdym razie ambasada dokonała gwałtownej zmiany frontu, załatwiając cudze i własne porachunki. Podejrzewałem — na podstawie poszlak, a nie dowodów — że do tej kategorii działań należał dziwaczny list rumuńskiego komisarza do spraw uchodźców skierowany do YMCA, a zapytujący o niejakiego Bobrowskiego, prowadzącego — według „poważnych źródeł polskich" — podejrzaną działalność wśród uchodźców. Nie ma natomiast żadnej wątpliwości co do drugiego faktu. Pewnego dnia zostałem wezwany przez pułkownika Zakrzewskiego, który z pełnym zażenowaniem oświadczył mi, że wbrew niemu i pomimo wysokiej oceny mojej działalności na rzecz internowanych, muszę jak najszybciej wyjechać do Francji.

Tak się oczywiście stało.

(cdn.)

# (4)

# Rzeź lasu

**Henryk Pająk**

W OSTATNIM odcinku moich publikacji dotyczących stanu polskich lasów oraz ich ochrony, pragnę zatrzymać uwagę Czytelnika na organizacji ochrony przyrody w ogóle — jako systemu przepisów i ustaw oraz instytucji powołanych do przestrzegania i realizowania jego zasad. Pozwoli to na ujęcie problematyki samych lasów w rozległym kontekście ochrony przyrody, której las stanowi bodaj najcenniejszą cząstkę.

Uprzedzając późniejsze konkluzje, można pokusić się o następujące stwierdzenie: Polska dysponuje — ponoć jednym z najlepszych na świecie — znakomitym, rozbudowanym systemem ochrony przyrody. Jego przenikanie od ustaw oraz instancji centralnych aż po ogniwa resortowe, wojewódzkie, miejskie i zakładowe wykazuje dostateczną „drożność", aby w sumie mógł stanowić precyzyjny instrument stymulujący działania na rzecz ochrony przyrody, a także alarmująco-represyjny.

Zakres działania systemu ochrony przyrody reguluje dość „staroświecka", bo pochodząca z kwietnia 1949 roku ustawa, precyzująca wszakże rozległy program ochrony gatunkowej zwierząt i roślin, parków narodowych, rezerwatów i pomników przyrody. W świecie roślin i drzew ochroną gatunkową objęto później (mocą uchwały Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego z 1957 roku) pięć drzew, osiem krzewów oraz 26 roślin. Ponadto częściową ochroną objęto 15 gatunków roślin leczniczych i przemysłowych. Wśród zwierząt wzięto pod gatunkową kuratelę 10 owadów, cztery ryby, osiem płazów, siedem gadów, 90 ptaków oraz 18 ssaków. Dość późno, bo dopiero w 1975 roku, wprowadzono ochronę niektórych ryb oraz raków, ustalono także ich wymiary ochronne. Do tych decyzji dołączyły ustalenia w zakresie kar za kłusownictwo. Lista zwierząt oraz kalendarz polowań były z biegiem lat nowelizowane, w miarę stwierdzania zagrożeń dla populacji niektórych, coraz rzadziej występujących, przedstawicieli fauny.

Można więc stwierdzić, że podstawowe decyzje o ochronie przyrody zapadły bardzo wcześnie, tuż po wojnie, kiedy kraj miał przed sobą morze ruin i zniszczeń — i od razu uwzględniły one szeroką listę przedstawicieli świata roślinnego i zwierzęcego.

W strukturze tego systemu znalazły się także ustalenia w zakresie ochrony przestrzennej, warunkującej „skondensowaną" opiekę nad wybranymi, szczególnie cennymi fragmentami przyrody. Dotyczyły one parków narodowych, rezerwatów oraz tzw. pomników przyrody — pojedynczych obiektów, głównie drzew, zasługujących na jednostkową ochronę. Wiele lat później ów rejestr ochrony przestrzennej uzupełniły i poszerzyły parki krajobrazowe oraz obszary chronionego krajobrazu.

Im właśnie, parkom i rezerwatom, poświęcimy tu więcej miejsca. Warto jednak, dla pełnej jasności, prześledzić do końca system instytucjonalnego funkcjonowania pięknej idei ochrony przyrody.

Jego główny trzon działa do dziś w kształcie przyjętym w ustawie z 1949 roku. Całością problematyki ochraniarstwa zawiaduje Państwowa Rada Ochrony Przyrody. Dalej postępują: naczelny konserwator przyrody, konserwatorzy wojewódzcy oraz wojewódzkie komisje ochrony przyrody, dotąd istniejące nie we wszystkich jeszcze „nowych" województwach.

Siłą napędową całego systemu, wynikającą z samej rangi lasu, jest Ministerstwo Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego. Formalnie rzecz biorąc, rada to organ doradczy ministerstwa. Spora doza ironii tkwi jednak w fakcie, że minister sam sobie doradza, gdyż jest... przewodniczącym Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Nieskończenie skromniejszymi możliwościami dysponuje wojewódzki konserwator przyrody, nierzadko mylony z wojewódzkim konserwatorem zabytków — może właśnie mylony dlatego, że możliwości obydwu są niewielkie, przy czym tego ostatniego jednak nieco większe, gdyż przynajmniej istnieją pracownie oraz tzw. moce przerobowe PKZ. Obydwaj natomiast rozporządzają prawem niewyrażenia zgody na to i owo: konserwator zabytków — na rozwalenie zrujnowanej zabytkowej budowli, która i tak padnie, bo nikt nie jest w stanie jej wyremontować; konserwator przyrody może oprotestować np. pomysł budowy ośrodka wypoczynkowego w centrum parku narodowego lub konkretnie — planowaną budowę elektrowni koniecznie w okolicach Woli Korybutowej (Lubelskie Zagłębie Węglowe), która zniszczy projektowany Poleski Park Krajobrazowy. I na protestach zwykle się kończy.

O tym, że w gruncie rzeczy funkcja konserwatora przyrody jest funkcją tytularną a ludzie piastujący są nieszkodliwymi maniakami, może świadczyć przykład pewnego byłego już, bo wyrugowanego na „wcześniejszą" emeryturę konserwatora z regionu lubelskiego, który miał odwagę, a raczej czelność, oprotestować pewien pomysł zaakceptowany przez wojewodę, a sprzeczny z zasadami ochrony przyrody.

Konserwatorzy w różnych województwach są przypisani do różnych wydziałów, przeważnie do wydziałów rolnictwa oraz gospodarki wodnej i ochrony środowiska. Ludzie ci na ogół zgodnie stwierdzają, że oprócz słabości wynikającej z zasad podporządkowania administracyjnego, na ich bezradność wpływa w głównej mierze brak ludzi i sprzętu do prac konserwatorskich i projektowych.

Proporcjonalnie nie lepsza jest sytuacja Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Organ ten z biegiem lat systematycznie tracił pozycję, jaką nadała mu ustawa w latach pięćdziesiątych. Z czasem rada przestała opiniować istotne programy rozwoju kraju pod kątem dobra przyrody. Przestała też opiniować kandydatury do ważniejszych stanowisk w systemie ochrony przyrody, np. kandydatury na stanowiska dyrektorów parków narodowych. Zlikwidowano wydawnictwo „Parki narodowe" oraz przestały ukazywać się materiały z sesji rady.

Odbiciem faktycznego prestiżu tej koronnej instancji jest sytuacja ochrony przyrody w aspekcie przestrzennym, gdyż właśnie na przestrzeń przyrodniczą ciśnie z ogromną siłą molech urbanizacji, industrializacji. Przede wszystkim — brakuje uniwersalnej definicji zasad rozwoju społeczno-gospodarczego kraju w aspekcie ekologicznym, a więc takim, który by uwzględniał zasadnicze wymogi ochrony, jak: bezpieczne dla zdrowia ludności środowisko, równowaga ekologiczna, niezbędne warunki dla rekreacji oraz możliwość dalszego rozwoju gospodarczego, powodującego jak najmniejsze szkody w środowisku. Nie istnieje taka korelacja; zastępują ją jednostkowe batalie wokół konkretnych inwestycji, projektów naruszających równowagę w środowisku, przetargi o tę czy inną inwestycję.

Najgroźniejszymi zjawiskami zagrażającymi sytuacji lasów, która zmusiła mnie do nadania cyklowi publikacji tak alarmistycznego tytułu „Rzeź lasu", były i są: niszczenie lasu, zwłaszcza bliska perspektywa zniszczenia lasów szpilkowych, zatrucia powietrza powodujące wymieranie licznych zespołów roślinnych i zwierzęcych, roślinności wokół wielkich zakładów przemysłowych oraz zatrucia rzek i zbiorników wodnych.

Te fakty tworzą magiczny krąg truizmów, banalnych prawd powtarzanych z emfazą oburzeniem, postulowanych na wszystkich szczeblach, ubieranych w gorset uchwał, ustaw i programów — nieodwołalnie pozostających na papierze w sferze utopii. Tę utopijność niezłych przecież programów i ustaw nie poddawanych w wątpliwość praw przyrody, wykazałem na przykładzie tak ważnego ogniwa tej przyrody, jakim jest las.

Zostańmy więc przy nim, przy lesie, w aspekcie ochrony przestrzennej. Idzie tu o sytuację parków narodowych, rezerwatów, pomników przyrody oraz parków krajobrazowych i obszarów chronionego krajobrazu. Jak one się mają? Jak powstają? Czego im potrzeba?

Konserwatorzy przyrody zgodnie przyznają: trzeba rozluźnić kryteria. Nie żądajmy zbyt wiele. Bierzmy pod skrzydła, co się da. Obojętne, w jakim jest stanie, czy jeszcze nadaje się do miana parku narodowego czy rezerwatu. W przeciwnym razie nie dostaniemy niczego.

Chcą np. uratować od ostatecznej dewastacji, nadając im rangę parków narodowych, pięć cennych jeszcze enklaw przyrodniczych: bagien w dolinie Biebrzy i Narwi, jeziora Wigry, dolnego biegu Krutyni i okolic Jeziora Nidzkiego, Puszczy Bukowej w województwie szczecińskim oraz Gór Stołowych. Dziesięć lat trwają zabiegi o nominację dla tych parków i dotychczas — żadne nie zostały uwieńczone sukcesem. Mamy dotychczas 14 parków narodowych o łącznej powierzchni 124,8 tys. ha, co stanowi około 0,40 proc. powierzchni kraju. Ostatni z nich, park Goszczański, powstał w 1981 roku, poprzedni — Roztoczański, w 1974 roku. Jeśli „postęp" będzie się odbywał w tym tempie, ostatni z projektowanych parków zostanie powołany około 2015 roku. Wiele wskazuje na to, że będzie już wówczas niepotrzebny.

Specjaliści twierdzą, że powierzchnia parków narodowych w naszym średnio industrialnym kraju powinna zajmować jeden procent jego obszaru. Taka formuła pasuje akurat do wspomnianych projektów: po zwiększeniu powierzchni parków już istniejących do 210 tys. ha, byłoby razem około 300 tys. hektarów, czyli prawie jeden procent.

Niestety, nominacja niczego jeszcze nie zapewnia. Dowodem tego jest sytuacja już istniejących parków. Ich lasy są prawie tak samo zatruwane i niszczone, jak obszary leśne nie zaliczone do kategorii parków czy rezerwatów. W Ojcowskim Parku Narodowym zamiera jodła niszczona przez $SO_2$. Parki narodowe w południowo-zachodniej części kraju wykazują w korze drzew ogromną koncentrację metali. Wiele istniejących parków, jak np. Wielkopolski, Kampinoski czy Tatrzański, nie posiada planów przestrzennego zagospodarowania — czytaj: możliwości obrony przed inwazją budownictwa. Rezultaty są takie, że istnieje Park Narodowy pisany dużymi literami, istnieje Dyrekcja Parku, a tymczasem na jego terenie wznosi się (np. w parku Wielkopolskim) kompleks wysokościowców szpitala na 17 hektarach, na dokładkę zabierając kilkanaście hektarów pod budownictwo indywidualne, przeforsowane przez „grupę nacisku" Poznańskich Zakładów Metalurgicznych „Pomet". Dzieje się to na przekór uroczystym protestom nie tylko dyrekcji parku, lecz również oponenta znacznie silniejszego, bo aż Ministerstwa Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska.

Przy opracowywaniu lokalnych programów gospodarczych bezceremonialnie „obdarowuje się" tereny parków narodowych różnorodnymi funkcjami gospodarczymi, sprzecznymi z ustawą o ochronie przyrody. Tak było w parku Kampinoskim, gdzie „wrzucono" fermy przemysłowe i ścieki oraz na terenie parku Tatrzańskiego, który nie może oprzeć się naporowi budownictwa noclegowego, instalowaniu nowych kolejek i wyciągów.

Jawnym przykładem już ustawowego lekceważenia wymogów parku narodowego była znana uchwała Rady Ministrów nr 157/79 z października 1979 roku „w sprawie dalszej realizacji zadań województwa nowosądeckiego w dziedzinie lecznictwa uzdrowiskowego, turystycznego i wypoczynku w latach 1981—90". Uchwała przewidywała szereg inwestycji na obszarze Tatrzańskiego Parku Narodowego i dopiero zmasowane głosy protestu instytucji, dyrekcji parku i mieszkańców doprowadziły do częściowego wstrzymania budowy schronisk, kolejek i wyciągów.

System przestrzennej ochrony przyrody uzupełniają rezerwaty, pomniki przyrody oraz — nowość ostatniego dziesięciolecia — parki krajobrazowe i obszary chronionego krajobrazu. Mamy ponad 700 rezerwatów, wśród których aż 350 to rezerwaty leśne. Na nominację do rangi rezerwatów czekają dziesiątki innych fragmentów przyrody: lasów, zespołów wodnych, źródlisk oraz terenów przyrody nieożywionej. Zarówno one, jak też rezerwaty już istniejące, są nieustannie poddawane ujemnym wpływom przemysłu i urbanizacji. Ze względu na ich dużą liczbę, przy stosunkowo małej powierzchni (niekiedy ograniczonej do 5—6 ha), trudno zapewnić im systematyczną ochronę oraz zabezpieczyć przed najazdem turystów, wyziewami kominów i ściekami czy też złodziejami leśnymi.

Jeszcze bardziej iluzoryczna jest ochrona pomników przyrody — głównie wiekowych drzew. Jest ich ponad 10 tys., przy czym wiele takich obiektów nie doczekało się jeszcze tej symbolicznej nobilitacji. A i te, które dumnie już dźwigają na sobie zieloną tabliczkę z napisem „Pomnik przyrody", są w większości pozostawione swojemu losowi. Trzeba je na bieżąco konserwować: cementować dziury w pniach, ściągać konary, przycinać uschłe gałęzie. Do tego potrzebne są grupy pracowników wyposażonych w odpowiedni sprzęt — na ich brak tak bardzo narzekają wojewódzcy konserwatorzy przyrody.

Osobny temat stanowią wiejskie parki, kryjące wiele wspaniałych drzew. Tymczasem parki wiejskie znajdują się pod kuratelą wojewódzkich konserwatorów zabytków, gdyż z reguły otaczają zabytkowe dworki czy pałace. W pierwszej kolejności zabezpiecza się tam budowle; starodrzewie schodzi na dalszy plan.

Inne z kolei problemy wynikają przy realizacji decyzji o powoływaniu parków krajobrazowych. Powstało ich już kilkanaście. Do najwcześniejszych należą m. in. wigierski, mazurski, suwalski, nadmorski i kazimierski. Obejmują 200 tys. hektarów, przy czym docelowo ma istnieć około 80 parków krajobrazowych. Przeszkodą w ich formalnym powoływaniu jest brak rozporządzeń wykonawczych, precyzujących warunki i statut parku krajobrazowego oraz tryb powoływania zarządów i rad tych parków, które, jeśli już istnieją, to rzadko działają jako samodzielne jednostki zarządzające. Ponieważ idea powoływania parków krajobrazowych jest stosunkowo młoda, brakuje prac teoretycznych i formalnych ustaleń, które by regulowały ich różnorodne funkcje.

Jeszcze bardziej płynne są kryteria powoływania obszarów chronionego krajobrazu. Specjaliści widzą potrzebę objęcia tą formułą 20—30 proc. obszaru kraju. W jakim celu? Otóż system obszarów chronionego krajobrazu ma zabezpieczać stosunki klimatyczne, zachować naturalne układy hydrologiczne, ułatwiać migrację gatunkową i utrzymać tzw. pulę genową drzew, a zwłaszcza zapewnić warunki do rekreacji pobytowej: budowy letnich domków, sobotnio-niedzielnych „wypadów". Do braku ustaleń teoretycznych i doświadczeń praktycznych dołączają tu bariery terytorialno-administracyjne. Obszary chronionego krajobrazu są wyznaczane z reguły w skali województwa, co powoduje sztuczne przerywanie ciągów przyrodniczych, np. wzdłuż rzek, a więc sztuczne kształtowanie mapy krajobrazowej.

Przy tak rozbudowanych planach, przy tak dużej różnorodności systemu ochrony przyrody, można by pomyśleć, że kiedyś, po udanej synchronizacji tak imponujących wysiłków, idei, programów, postulatów, kompetencji i... pobożnych życzeń, Polska stanie się jednak wielkim ciągiem parków narodowych i krajobrazowych — swoistą Amazonią Europy Środkowej, a jej lasy — „zielonymi płucami" narodu; że na tle tych dokonań uprzednie wizje o „rzezi lasu" okażą się, na szczęście, jedynie rojeniami chorej wyobraźni tego czy innego publicysty.

Oby tak się stało! Znamy jednak halucynogenne działania różnych wspaniałych programów. Na razie więc pozostańmy przy wizji apokalipsy.

## Na psychiatrii

# TERESA

### Janusz Perzyński

MILCZENIE. Jasne włosy duże, niebieskie oczy. Nieruchome i smutne. — O czym myślisz, Tereso?

Obraca w palcach gałązkę dzikiej róży. Nad flanelowym kołnierzykiem pulsuje tętnica. Wolno unosi głowę.

— Proszę mnie wypuścić. Muszę iść...

— Dokąd chcesz pójść?

— Do mojej krainy szczęścia...

— Czy pokażesz mi swój pamiętnik?

— Nikomu nie wolno go czytać

— Dlaczego?

— Bo umrę...

— Dobrze, Tereso. Nikt nie będzie go czytał. Czy chcesz się położyć?

— Tak.

Wtulona w szlafrok, idzie długim korytarzem. Sala siódma, łóżko przy oknie. Nakrywa głowę kocem.

Ojciec ma czarne włosy, jak ona niebieskie oczy, mocne ręce. Unosi ją wysoko. Wysoko, ponad stół z kraciastą serwetą, ponad skrzypiącą szafę.

— Hej Teresiu! Hej, ty mój skowronku!

— Jeszcze raz tatku! Jeszcze raz...!

Szybuje nad szafą, nad kraciastą serwetą.

Nagłe walenie do drzwi i zachrypły głos — otwieraj znajdo!

Odór alkoholu, przekrwione oczy, twarda, żylasta pięść.

— Tatku kochany! Nie...!

Ktoś szarpie ją za ramię, odsłania koc, jasne światło.

— Co się stało Teresko? Nachylona siostra Basia głaszcze ją po twarzy.

— Nic, nic... Już dobrze...

• • •

Ma 17 lat i twarz przestraszonego dziecka. Drugi tydzień pobytu w klinice. Z zapisów w historii choroby wyłania się obraz jej życia. Dzieciństwo, szkoła podstawowa, rok liceum. Informacje od opiekuna społecznego i pielęgniarki środowiskowej. Krótkie, zwięzłe. „W domu melina pijacka. Wielokrotne interwencje milicji. Matka karana za handel alkoholem. Starszy brat pacjentki odbywa karę pozbawienia wolności. Ojciec opuścił dom przed rokiem, prawdopodobnie przebywa na Śląsku. Ostatnie pacjentka zamieszkiwała w internacie liceum w G. Była tam odwiedzana przez ciotkę, Zofię K. Matka nie potrafi podać bliższych danych. Zdaniem matki, warunki w domu bardzo dobre. Adres Zofii K..."

• • •

Siostra Ewa roznosi termometry. Już widno. Na korytarzu palą się jeszcze boczne światła. Przez otwarte drzwi widać salową. Nachylona wysuwa i cofa ręce. Chropowaty szelest froterki. Szu-szu... Szu-szu... W metalowym okuciu błyska odbijany promyk. Szu-szu... Szu-szu...

Na sąsiednim łóżku śpi babcia Teofila. Żółta, pomarszczona. Fałdy skóry nadymają się jak pompowany balonik. Coraz większe... Twarz matki. Śmiejąc się, rozgryza szklankę. Mlaskają wydęte wargi.

— Ha, ha...! Ty mnie jeszcze popamiętasz!

Wciąga nosem powietrze i mocno pluje szkłem. Ostre kawałki kłują twarz, szyję, piersi. Teresa zrywa się, szarpie guziki piżamy. Szkło spada na podłogę. Siostra Ewa jest już przy niej.

— Teresa! Co robisz?! Popatrz, stłukłaś termometr...

Po śniadaniu instruktorka terapii zajęciowej zbiera pacjentów na spacer.

— Doktorze. Można zabrać Teresę?

— Tak, ale proszę być przy niej...

Czerwieni się słońce w krzakach dzikiej róży. Pełno ich przy alejkach.

— Uważaj Teresko bo się pokłujesz!

— Stworzyłam jaśminy, stworzyłam róże... Z róż są kołyski moich dzieci...

— O czym mówisz, Teresko?

— Ona przez cały czas gada takie głupoty...

— Panie Stasiu, tak nieładnie. Co chciałaś powiedzieć?

Zza jabłoni, od strony pól, dobiega ciche granie dzwonków. Dzyń-dzyń... — No chodź... Dzyń-dzyń... — Czekamy...

Teresa zrywa się, biegnie wzdłuż alei, skręca w krzewy róż.

— Tereso! Wracaj!

Instruktorka dogania ją przy parkanie, bierze pod rękę.

— Zobacz, pokaleczyłaś nogi... Wracamy na oddział.

• • •

Notatka w raporcie pielęgniarskim: „Pacjentka okresowo niespokojna, przejawia lęk. Chwilami wypowiedzi nielogiczne. Rano stłukła termometr, podczas spaceru próbowała oddalić się ze szpitala".

Relacja opiekuna internatu: „Pamiętam, że kilka razy Teresa wróciła z domu posiniaczona. Mówiła, że spadła z drabiny, czy coś takiego... Była raczej małomówna i zamknięta w sobie. Nie brała udziału w pracy aktywu szkolnego. Uczyła się przeciętnie. Po zakończeniu roku szkolnego pojechała do swojej ciotki. We wrześniu nie zgłosiła się do internatu. Nie wiedziałem, że jest tutaj. Sądziliśmy, że wyjechała na Śląsk, bo wspominała o przeprowadzce do ojca. Oczywiście... Otoczymy ją opieką, jak wróci..."

Kolejne strony historii choroby. Wyniki kontrolnych badań laboratoryjnych, wykresy funkcji mózgu. Notatka o wysyłanych do matki wezwaniach. Czwarty tydzień hospitalizacji. Jest wreszcie matka. Nalana twarz i drobne żyłki na policzkach. „I co takiego? Sama muszę iść do lekarza, bo mi nogi puchną, a nie mam kiedy. Teresa wdała się w ojca. Uparta i nieuczynna. Wolała jechać do ciotki niż do mnie... Pewnie, że tak... Tam nie musiała nic robić. Mnie samej ciężko... A bo to ją obchodziło? Taka już natura? Mąż? Taki tam mąż. Znalazł sobie babę na Śląsku. Nawet nie wiem, gdzie jest. Teresa uczepiła się, że znam adres, tylko powiedzieć nie chcę... Dzisiaj wcale nie chciała rozmawiać. Przywiozłam jej jabłka, to nie wzięła... A gdzie ona tam chora! Zawzięła się. Ojciec też był taki. A kto to panu powiedział? Wcale się u mnie nie pije... Sąsiedzi tak nagadali tej z opieki. Tacy ludzie... Jak zechce, to może wracać do domu. Łóżko jest... Na żadne rozmowy nie mogę przyjeżdżać, bo mi nogi puchną".

• • •

Teresa siada na krześle, wygładza fałdy szlafroka. Spod okładki leżącego na kolanach zeszytu wystaje gałązka dzikiej róży.

— Jak spędziłaś dzień?

— Rano rozmawiałam z Jolą. Ona jest z Domu Dziecka.

— Lubisz Jolę?

— Tak. Jest bardzo miła. Czy pan wie, że chciała popełnić samobójstwo?

— Wiem.

— Powiedziała, że jak stąd wyjdzie, to napisze do mnie...

— Co jeszcze robiłaś?

— Byłam u pani psycholog. Rysowałam krainę szczęścia. Potem byłyśmy w klubie.

— Co narysowałaś?

— Zieloną dolinę, strumień, kwiaty i huśtawki...

— Co jeszcze?

— Słońce i dużo ptaków. Na huśtawkach były moje dzieci...

— Czy wołają cię jeszcze?

— Już nie. Nie słyszę ich... Są duże i wszechmocne.

— Będziesz szukać swojej krainy?

— Nie wiem... Przyniosłam pamiętnik. Może pan przeczytać. Już się nie boję...

Idąc korytarzem, podrzuca do góry gałązkę dzikiej róży.

— Hej, mój mały! Hej, ty mój skowronku!

• • •

Zapis rozmowy z Zofią K., ciotką pacjentki: „Szkoda mi tego dziecka. To dobra dziewczynka. Wie pan, jakie ma warunki w domu... Bardzo przeżyła odejście ojca. W czerwcu, po zakończeniu szkoły, przyjechała do mnie. Po trzech tygodniach powiedziała, że musi już jechać. Byłam pewna, że wraca do matki. Nigdy bym nie przypuszczała... Tak, zajmę się Tereską. Matka wyraziła na to zgodę".

Skierowanie do kliniki wystawione przez lekarza dyżurnego Pogotowia Ratunkowego: „Od kilku tygodni włóczyła się po polach, unikała ludzi. Brudna, zaniedbana. Nie udało się nawiązać kontaktu słownego. Konieczna obserwacja psychiatryczna.

• • •

Fragmenty pamiętnika:

**„15 lipiec, wtorek.**

Zbudziłam się i urodziłam źródełka. Powietrze takie dobre. Boję się, że wszystko stracę.

**21 lipiec, poniedziałek.**

Stale wołają mnie moje maleństwa. Są takie kruche. Woda bardzo mądrze ze mną rozmawiała. Muszę wytrwać.

**25 lipiec, piątek.**

6.10 — Budzę się. Jestem zagubiona. Bardzo mi smutno. Czekam na samą siebie.
6.30 — Ścielę łóżko. Zbiłam lusterko. Kupię sobie nowe.
8.15 — Śniadanie. Chleb z masłem, ser żółty herbata.
10.05 — Urodziłam aniołka. Jaśminowe są moje dzieci, jaśminowa moja kraina. Nie mogę wyjść.

Rys. Edward Inglot

**5 sierpień, wtorek.**

Śniadanie zjadłam później, bo miałam pobieraną krew. Rozmyślam o swoich wszechmocnych dzieciach. Dostałam tomik Gałczyńskiego. Czy ja się odnajdę?

**13 sierpień, środa.**

9.10 — Wizyta lekarska. Chodził pan doktor i siostra oddziałowa.
10.15 — Idziemy na powietrze. Byłam z panią Ewą w klubie. Kupiłam oranżadę.

**14 sierpień, czwartek.**

Była mama. Nie chcę wracać do domu. Rozmawiałam z panią psycholog.

**26 sierpień, wtorek.**

Pomagałam siostrom w rozdawaniu leków. Po obiedzie sprzątałyśmy z Jolą w pracowni terapii zajęciowej. Jola zrobiła dla mnie śliczną serwetkę.

**28 sierpień, czwartek.**

Dostaję już tylko dwie tabletki. Ciocia przywiozła mi książki do szkoły. Wypisują mnie w przyszłym tygodniu. Muszę nadrobić kilka dni. Bardzo lubię panią psycholog".

• • •

Zatrzymuje się w otwartych drzwiach. Poprawia ręką wciskające się pod kołnierzyk sukienki włosy.

— Chciałaś coś jeszcze powiedzieć?

— Cieszę się, że jestem już zdrowa...

— Wszyscy cieszymy się, Tereso.

— Tak, dziękuję... Ale nie mam już swojej krainy szczęścia. Była tylko chorobą. Szkoda...

# Po co takie programy?

OD lat słyszy się powszechnie — zwłaszcza po egzaminach wstępnych na wyższe uczelnie i do szkół średnich — utyskiwanie na poziom wiedzy kandydatów. Najczęściej winą za taki stan obciąża się nauczycieli szkół podstawowych i średnich. Ale i w zakładach pracy opinia o młodych pracownikach, po ukończeniu przez nich szkół zawodowych, nie jest najlepsza. A przecież kadra pedagogiczna współczesnej szkoły jest i wykształcona, i przygotowana do pełnienia nauczycielskiej profesji.

Gdzie więc tkwi przyczyna niezadowalającego przygotowania uczniów do dalszego kształcenia lub do wykonywania wyuczonego zawodu? Tu jawi się problem organizacji pracy dydaktycznej w szkole, ale wynikający z centralnie przyjętych postanowień programowych, a nie wewnętrznej struktury organizacyjnej danej placówki.

Podstawowym warunkiem wyrównania poziomu wiedzy w różnych typach szkół, zdaniem dydaktyków-teoretyków, było ujednolicenie programów nauczania z niektórych dyscyplin ogólnokształcących. Nie pomyślano jednak o ujednoliceniu szans na ich realizację. Wiadomo również powszechnie, że do liceów ogólnokształcących jest przyjmowana młodzież zdolniejsza, i więc na egzaminach wstępnych próg możliwości takich kandydatów jest wyższy: w szkołach zawodowych uczy się młodzież o zdolnościach średnich i mniej niż średnich. Siatki godzin natomiast przeznaczone na realizację programów w liceach ogólnokształcących są o wiele korzystniejsze niż w liceach zawodowych czy technikach. Oczywiście mowa tu o profilu ogólnym, a nie klasach profilowanych w liceach ogólnokształcących, gdzie większa liczba godzin przeznaczonych na dyscypliny profilowane jest uzasadniona.

Ważnym czynnikiem wpływającym na jakość i ilość wiedzy ucznia jest jego praca samodzielna w domu. Uczeń liceum ogólnokształcącego opanowuje kilkanaście dyscyplin w szkole, uczeń liceum zawodowego czy technikum ma ich podwójnie więcej — ma więc o połowę cz su mniej na przygotowanie chociażby przedmiotów niezawodowych. Jak można wobec takiej struktury programowo-dydaktycznej mówić o zrównaniu poziomu wiedzy z przedmiotów ogólnokształcących — bo tylko z takich kandydata na wyższą uczelnię się sprawdza?! A przecież absolwent liceum zawodowego czy technikum posiada wiedzy o wiele więcej, tyle tylko, że z przedmiotów zawodowych, której z kolei nie ma zupełnie absolwent liceum ogólnokształcącego.

Jeśli więc dopuszcza się absolwentów maturalnych szkół zawodowych do egzaminów na wyższe uczelnie, należałoby (aby dać im równe szanse) sprofilować dla nich egzaminy wstępne z przedmiotów podstawowych lub poszerzyć te egzaminy o wiodący przedmiot zawodowy. Otrzymana ocena z tego zawodowego przedmiotu, włączona do ogólnej punktacji egzaminacyjnej, byłaby jedną z szans umożliwiających kandydatowi szkoły zawodowej zdobycie studenckiego statusu.

Oddzielne miejsce w niniejszych uwagach należy poświęcić problemowi programów nauczania i efektów ich realizacji w szkolnictwie zawodowym szkół zasadniczych.

Do tych szkół trafia młodzież bez żadnej selekcji egzaminacyjnej, a więc najtrudniejsza wychowawczo i o najmniejszym zasobie wiedzy. Ale programy nauczania przedmiotów ogólnokształcących są znowu dla wszystkich szkół tego typu jednakowe, bardzo obszerne, za ambitne, przeładowane merytorycznie. Nauczanie tych przedmiotów odbywa się dwa dni w tygodniu, podczas gdy nauka zawodu trwa trzy dni tygodniowo. Słusznie zresztą, bo po ukończeniu tej szkoły absolwent ma być robotnikiem. Ale z kolei rodzi się pytanie, po co takie programy, które nie mają szans realizacji z dwóch powodów. Po pierwsze: bo nie są dostosowane do intelektualnych możliwości uczniów tych szkół, jeśli nie wszystkich to zdecydowanej większości. Po drugie: czas przeznaczony na ich realizację jest tak zaplanowany, że nauczyciel ma trudności z wyczerpaniem treści programowych podczas lekcji, a uczeń, chcąc sprostać wymaganiom nauczyciela, ma za mało czasu, by nauczyć się być dobrym robotnikiem. Stąd między innymi narzekania zakładów pracy na młodą kadrę robotniczą.

Należałoby chyba przeanalizować, a nieraz wręcz zmienić programy nauczania i siatki godzin przeznaczonych na ich realizację. Ważnym momentem w tym przedsięwzięciu — i rokującym powodzenie — byłoby dopuszczenie do opracowania zmian programowych nauczycieli-praktyków. Wedle dotychczas obowiązującego „zwyczaju", kolegia redagujące programy składają się przede wszystkim z doktorów, docentów, a nierzadko i profesorów odpowiednich dyscyplin. Może dlatego rzeczywistość szkolna wykazuje, że nie wytrzymują one krytyki tych, którzy muszą je realizować w trakcie przygotowywania młodych ludzi do dalszego kształcenia lub pracy we współczesnym społeczeństwie.

**Maria Wilińska**

# JAZDA OKRĘŻNA

**Andrzej Twardochlib**

KIEDY wyszedł od Sapińskiej, dochodziła szósta. Do Warszawy było niewiele ponad sto kilometrów. Półtorej godziny jazdy. Mógł dojechać do Warszawy przed ósmą, ale mógł się liczyć z tym, że ojca nie będzie w domu. Ani w domu, ani w Warszawie, ani w ogóle w Polsce. Starszy pan Kramer podróżował często i nawet bardzo daleko. Henryk nie miał w stolicy miejsca, gdzie mógłby się zatrzymać i przespać. Na hotel nie liczył, podróżował zresztą na własny rachunek i za nocleg musiałby zapłacić sam. Krezusem nie był, co mu niedawno delikatnie wytknął były kolega Zygmunt Wójcik.

Przejrzał atlas samochodowy i znalazł na trasie dwa campingi. Wsiadł do samochodu, spojrzał jeszcze na dom, gdzie mieszkała wdowa Sapińska, i wyjechał na warszawską szosę. Do pierwszego campingu miał niecałe czterdzieści kilometrów. Były miejsca. Panienka — jak na polskie stosunki wyjątkowo miła i uprzejma — poinformowała Henryka, że dysponuje trzema kategoriami domków. Uzyskał obietnicę, że nikogo mu nie dokwateruje i wybrał ostatnią kategorię. Domek miał kształt psiej budy, był tylko odrobinę większy. Stały tam dwie prycze z piankowymi materacami, pościel wyglądała na czystą, odrobinę tylko zalatywała stęchlizną. Wnętrze oświetlała piętnastowatowa żarówka. Henrykowi wcale to nie przeszkadzało. Kilka godzin snu i jutro, jak najwcześniej, w dalszą drogę.

Na całym campingu co najwyżej połowa miejsc była zajęta. Oprócz domków trzech kategorii stało trochę namiotów. Tutaj kategorii było przynajmniej dziesięć. Od małych, dwuosobowych, do olbrzymich namiocisk z jadalniami, werandami, sypialniami i daszkami dla samochodów. Domek Henryka stał w pobliżu takiego szmacianego pałacu w białe i niebieskie pasy. Obok parkowały dwa samochody: polonez i duży fiat.

Zjadł w barku kiełbasę z rusztu, popił dwiema butelkami piwa, jeszcze trzy wziął ze sobą do domku. Przysiadł na progu psiej budki i powoli popijał. Przed namiotem w pasy siedziały dwie panie w okolicach czterdziestki. Henryk słyszał, o czym rozmawiają.

— Moja znajoma plastyczka wyszła za Szweda. Zaraz po przyjeździe rozwiodła się i pracuje w garmażu. Za jedną pensję kupiła sobie telewizor kolorowy, zdalnie sterowany. Ma pani pojęcie, ile musiałaby w Polsce na to pracować?

— Nie dziwię się wcale naszym naukowcom, że wyjeżdżają na Zachód. Chwytają się dwóch posad, pracują dzień i noc, a po dwóch latach, co ja mówię! — po roku, mają piękne mieszkanie, samochód...

— Mój syn skończył studia, ma magistra, i na państwowej posadzie zarabiał niecałe pięć. Ożenił się, mają trzymiesięczne dziecko. My mamy duży, sześciopokojowy dom, ale nie chciał być z nami, byliśmy więc zmuszeni kupić mu mieszkanie. Mamy także własną kawiarnię, mąż zatrudnił syna u siebie jako bufetowego, za piętnaście tysięcy. Wie pani, mam czasem pretensje do matki, że urodziła mnie Polką.

Henryk był nieźle uodporniony na wszelkie rodzaje kołtuństwa. Dlatego rozmowa obu pań wcale go nie bulwersowała. Mawia się czasem o takich: ptasie móżdżki. Henryk był innego zdania. Te móżdżki nie były ptasie, tylko betonowe. Takimi móżdżkami posługiwali się i zamiatacze ulic, i profesorowe wyższych uczelni. Rzecz jasna nie wszyscy, ale wielu. Słuchając takich wynurzeń, Henryk popuszczał czasem wodze marzeniom. W tych marzeniach pojawiał się ciężki, gąsienicowy spychacz i wyrównywał. Swoją drogą — pożal się Boże — spychacz i psychologia marzeń... Niemniej za paliwo dla spychacza Henryk zapłaciłby chętnie z własnej kieszeni, nawet zadłużając się w tym celu.

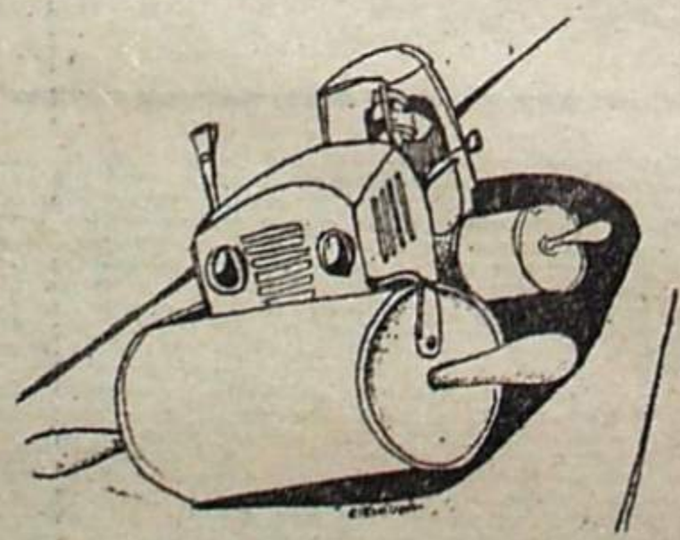

Rys. Zbigniew Cieniuch

Kończył drugie piwo, kiedy pojawili się mężowie pań. Przynieśli parę mizernych płotek, ale ich wędkarski sprzęt był co najmniej tak wspaniały, jak ich żony. Panie przygotowały kolację. Pito whisky i polską żytnią z kłoskiem. Ton konwersacji nie zmienił się a nawet panowie wnieśli nowe, równie kołtuńskie elementy. Henryk wypił trzecie piwo i poszedł do barku po następne butelki. Mógł nawymyślać tamtemu towarzystwu, panowie wyglądali cherlawo i gdyby doszło do mordobicia, poradziłby sobie. Ale był przekonany, że byliby tylko głęboko zdumieni, iż jest na świecie ktoś, kto nie podziela ich poglądów. Mogliby też odpowiedzieć najbardziej obraźliwym epitetem: „idealista". Nie dotarłyby do nich ani argumenty, ani wymyślania, ani pranie po pyskach. Więc tylko ten spychacz z marzeń, albo iść spać. Wybrał drugie rozwiązanie, wypił resztę piwa i szybko zasnął.

* * *

W Warszawie był przed dziewiątą. Zaparkował malucha w pobliżu placu Trzech Krzyży, wstąpił na kawę do ogródkowej kawiarni, zjadł jakieś podłe ciastko. Pierwszy posiłek w tym dniu, bo w campingowym barku kiełbasa była niedwuznacznie śmierdząca. Poza kiełbasą mieli jeszcze piwo, ale Henryk był człowiekiem żelaznych zasad. Po alkoholu za kierownicę nie siadał. No... czasami. W każdym razie nie po dużym alkoholu, a już nigdy wypitym na czczo.

Zapłacił rachunek i spacerkiem poszedł do ministerstwa. Dziewczyna (hostessa?) siedząca w informacji nie była tak uprzejma, jak ta wczorajsza z campingu. Czytała „Życie Warszawy" i dopiero po drugim chrząknięciu Henryka raczyła zwrócić na niego uwagę. „Dzień dobry" pozostało bez odpowiedzi.

— Słucham?

— Ja z takim pytaniem — powiedział pokornie, żałując, że nie ma czapki, którą mógłby zdjąć i zamieść podłogę. — Czy pani mogłaby mnie połączyć z dyrektorem gabinetu ministra?

— W jakiej sprawie?

— Pośrednio osobistej.

— Przykro mi, ale nie mogę — powiedziała, chociaż wcale nie było jej przykro.

— A z sekretarką dyrektora gabinetu?

— Też w pośrednio osobistej sprawie?

— W jeszcze bardziej pośrednio osobistej.

Wahała się, taksowała Henryka wzrokiem, a on stał z rękami zwieszonymi wzdłuż ciała i z miną prostaczka.

— Nazwisko?

— Kramer. Henryk Kramer do pani usług.

— Jak? — zapytała ze zdziwieniem. W dalszym ciągu był pokorny i zasmucony, że tak źle go tu traktują.

— Przeliterować? — zapytał. — Przecież to takie proste nazwisko...

Hostessa sięgnęła po słuchawkę, zaczęła wykręcać numer.

— Przepraszam — powiedział. — Proszę wykręcić ten, z którego będzie się pani mogła połączyć z dyrektorem. W tej pośrednio osobistej sprawie.

Nacisnęła widełki, wykręciła inny wewnętrzny numer.

— Pani Joanno... Kwiatkowska mówi, z dołu... Jest u mnie pan Henryk Kramer... Czy pani...?

Rozmówczyni najpewniej jej przerwała, bo dziewczyna oddała Henrykowi słuchawkę.

— Dzień dobry pani, Henryk Kramer... Krewny, tak... Gdybyśmy mieli być drobiazgowi: syn... Połączy mnie pani z dyrektorem gabinetu, czy sama zdradzi tajemnicę państwową? Jest ojciec? Bardzo zajęty? Zapyta pani? Dziękuję.

Czekał kilkadziesiąt sekund. Hostessa przyglądała mu się z zainteresowaniem. „Życie Warszawy" było otwarte na kolumnie z nekrologami.

— Umarł ktoś ciekawy ostatnio? — zapytał Henryk. — Bo ja, wie pani, z prowincji. O gazetkę u nas trudno.

Zanim zdążyła odpowiedzieć — cóż by zresztą mogła odpowiedzieć na pytanie tak głupie? — zgłosiła się sekretarka dyrektora gabinetu.

— Tak — powiedział Henryk. — Dziękuję pani, trafię... Tak, w tej sekundzie.

Oddał słuchawkę dziewczynie.

— Do pani.

— Tak jest, pani Joanno. — Tak, oczywiście.

Rozłączyła się, wyszła zza swojego biurka, poszła w stronę schodów, gdzie stali dwaj wygalowani goryle.

— Ten pan może wejść — powiedziała. — Przepustki nie trzeba.

Kiwnął jej głową i zaczął wchodzić na schody. Raczej wstępować, bo zwykłe wchodzenie po takich schodach byłoby nietaktem.

Ministerialny gabinet też był umeblowany z ministerialnym rozmachem. Kramer-ojciec i Kramer-syn spoczywali w głębokich fotelach. Spoczywali, bo zwykłe siedzenie w takich fotelach nie byłoby już prostym nietaktem, a świętokradztwem. Ojciec skończył właśnie wymyślać komuś przez telefon i odłożył słuchawkę.

— Co porabiasz? — zapytał Henryk.

— Wlazłeś po to, żeby zadawać głupie pytania? — zapytał bez pretensji zresztą ojciec. — Co porabiam? Rządzę. A ty co porabiasz?

— Jestem na lewym zwolnieniu lekarskim.

— Wyrażam dezaprobatę.

— Niczego innego się nie spodziewałem. Ale to fakt, niestety — powiedział Henryk. Zadzwonił jeden z licznych telefonów, ojciec bezbłędnie sięgnął po właściwą słuchawkę.

— Tak, pani Joanno... Wiem. Niech Stefan podjeżdża za dziesięć minut.

— Nie masz dla mnie czasu? — zapytał Henryk z wyraźnie udawanym i przesadnym wyrzutem. Ojciec westchnął.

— Słuchaj, do cholery, ja naprawdę jestem ministrem, a teraz są godziny urzędowania.

— To widać... Przyjechałbym wczoraj i naszedłbym cię w domu, ale nie wiedziałem, czy jesteś w Warszawie. Przez telefon by mi przecież nie powiedzieli. Więc antyszambrowałem i wlazłem tu, żeby ci zadać parę głupich pytań.

— No?

— Co słychać?

— Henryk, za osiem minut muszę jechać do wicepremiera.

— Wobec tego mądrzejsze pytanie: o której będziesz w domu? Oczywiście, jeżeli z wizyty u wicepremiera nie polecisz natychmiast do Buenos Aires. W takim wypadku pojadę sobie dalej.

— Dokąd?

— Przed siebie.

— W domu będę najprawdopodobniej przed dziesiątą — powiedział ojciec. — Nie wyjeżdżam do Buenos Aires. Dam ci klucze, ale przypadkiem nie wyrusz na noc w Polskę, bo nie mam drugich.

— Oto jest ministerialny, zwięzły styl — rzekł z uznaniem Henryk. — W porządku. W Polskę nie pójdę, bo mnie na to nie stać, poza tym generalnie nie lubię Warszawy.

Ojciec włożył do aktówki jakieś dokumenty, wstał z fotela, wyjął z kieszeni pęk kluczy, podał synowi.

— Adres pamiętasz?

— Pamiętam.

— Podrzucić cię gdzieś?

— Mam przecież malucha. Trzy lata temu dałeś mi talon. Nie pamiętasz?

— Nie pamiętam.

* * *

Ojciec mieszkał w jednym z przedwojennych bloków, które kołem otaczały plac Komuny Paryskiej. Henryk powiedział wprawdzie, że pamięta adres — pamiętał zresztą — ale miał kłopoty ze znalezieniem właściwej klatki schodowej. Otworzył drzwi, w przedpokoju postawił podróżną torbę, powiesił kurtkę, wszedł na pokoje. Pierwsza rzecz, jaką zrobił, to otwarcie okna.

Mieszkanie było urządzone bez żadnych ekstrawagancji. Nie było tu nic, co świadczyłoby o jakichś szczególnych zainteresowaniach gospodarza. Dość dużo książek, kolorowy telewizor, na prostym biurku dwa telefony, trochę papierów. Panował lekki bałagan. Widać było, że ojciec Henryka prowadzi kawalerskie gospodarstwo, że mieszka sam.

Henryk zajrzał do kuchni. W zlewozmywaku było trochę brudnych naczyń, na stole resztki śniadania. Henryk otworzył lodówkę. Wędliny, masło, rybne konserwy. Kilka butelek piwa. Henryk wyjął dwie, wrócił do pokoju i przysunął fotel blisko okna. Na parapecie postawił butelki, wyjął z kieszeni scyzoryk z otwieraczem. Ze szklanką w ręce stanął przed regałem z książkami, czytał tytuły. Wyciągnął „Studium tyranii" Bullocka, uśmiechnął się na myśl, że być może ojciec marzy o karierze Hitlera, wsunął książkę z powrotem. Usiadł w fotelu, zapalił papierosa, przytknięciem wyrzucił zapałkę za okno, pociągnął łyk piwa. Po drugiej butelce poczuł w sobie potrzebę działania. Zdjął koszulę, przepasał się ręcznikiem, pozmywał naczynia i sprzątnął kuchnię. W służbówce znalazł odkurzacz, przynajmniej przez godzinę jeździł nim po pokojach. Wziął do łazienki jeszcze dwie butelki piwa, wszedł do letniej wody. Leżał z pół godziny, popijał piwo, wypalił dwa papierosy. Potem wyszorował wannę, ogolił się. Nie wiadomo dlaczego, ale poczuł, że jest z siebie zadowolony.

**(Fragment powieści pod tym samym tytułem, która ukaże się w Wydawnictwie „Iskry").**

# Cuda w Tarnogrodzie

AKTORA profesjonalnego od aktora amatora dzieli niewiele. Jeżeli obaj są dobrzy, szybko przeskakuje iskra między sceną a widownią i jest to to, czego nie można dopiłować się latami z kulą ambicji przy nodze, bez względu na status. Aktor-amator, tak samo jak aktor profesjonalny, może patrzeć na świat z wysokości koturnu, w przekonaniu, że tylko na niego skierowano jupitery. I jeden i drugi może być żałosny w swojej wielkości — aż do grobu, albo chwili olśnienia.

Ponieważ ostatnio nikogo nie zniesiono ze sceny, będzie o olśnieniu. W Tarnogrodzie od wielu lat ludzie szaleją za teatrem i w teatrze, czego pilnie dogląda dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury, Władysław Dubaj. Niby nic, tak zwana działalność, a jednak co roku przyjeżdża do Tarnogrodu kupa ludzi z szesnastu województw, z zabitych dechami wsi, i pokazuje, czym bawi się na swoich scenach na co dzień.

Przeważnie są to zespoły obrzędowe, ale również i dramatyczne. Skala tych teatralnych konfrontacji co roku wzrasta, więc jesienią dyrektor Dubaj planuje Ogólnopolski Sejmik Teatrów Wsi Polskiej, który będą poprzedzały regionalne sejmiki w województwach: koszalińskim, leszczyńskim, siedleckim i zamojskim. Oczywiście wszystko bez konkursów, wszystko z sercem i co więcej trzeba? A widowni takiej jak w Tarnogrodzie nie znajdzie nigdzie. Nabita po brzegi, wyzwolona z minoderyjnych pęt, którymi przejmuje się widz teatralny w mieście, wciąż poprawiający fałdy i makijaż, wciąż skrępowany obecnością w przybytku sztuki. W Tarnogrodzie po wygaśnięciu świateł na sali słychać: „Dudzikowa, gdzie pani...?", po czym łoskot i pełne ulgi klapnięcie na składanym krześle. Przepychanie się nie jest grzechem, jest miłym rytuałem, byle bliżej sceny, byle zajrzeć pod kurtynę, zobaczyć, dlaczego się guzdrzą. A brawa, to są dopiero brawa!

Teatry wiejskie są jak Nikifory. Co wymyślą, to dlatego, że tak się im, a nie komu innemu, podoba. Jeżeli teatr z Brzostówki koło Lubartowa pokazuje jasełka, to pokazuje swoje jasełka. Naraz wpadają gęsiego anioły w ślubnych sukniach i mieczami ognistymi jak wonnymi różami wymachują Herodowi przed nosem. Podobnie ma się sprawa ze strojami świty Heroda, będącymi przeglądem mody od stuleci, aż po dzień powszedni miejscowej straży pożarnej. Ale oto i niespodziewanie odszczekuje się Herodowi stary pastuch, robiąc to tak oszczędnie w środkach, a dobitnie w wyrazie, że aktor Wojciech Siemion prawie pada na kolana, a widownia trzęsie się ze śmiechu. Żeby nie było dosyć zaskoczeniom, śmierć gubi gacie i choć spętana w kostkach — dorzyna Heroda, też przy radosnych brawach. Jako następny występuje zespół z Trzciany koło Rzeszowa, z obrzędem noworocznym — swobodnym i rozochoconym, tak jak to się u nich robi. Częstują kolędników serem i chlebem, biegają za kulisy po brakujące kieliszki, wreszcie schodzą z gościńcem na widownię i każdemu gardło z ciekawości wysycha — czy w butelce jest woda?!

Zespoły obrzędowe przywożą widowiska dokładnie takie, jak za pradziadów. Nie „okrężne pierzowin", ale mówi się u nas „okrężna pierzowin", prostują kobiety ze Strykowic Górnych (woj. radomskie) w czasie dyskusji ze specjalistą. Przysięgają, że korona z pierza na głowie gospodyni jest konieczna, bo przy okrężnej kartofli — jest z kartoflami na zakończenie wykopków. I tańce z narastającym rytmem wcale nie zostały podrasowane na potrzeby sceny, gdyż starsze panie pamiętają, że tak było. Zaś zderzenie się par tanecznych rzeczywiście nastąpiło po wódce, ale było namówione! „Okrężna pierzowin" odbyła się bez oglądania na mikrofony, i z żadnym „twarzą do widowni". Zespół tańczył jak dla siebie, zwłaszcza starsze kobiety z godnością i tym subtelnym wyczuciem, które chciałby ochronić i utrwalić specjalista od obrzędów, Antoni Śledziewski.

Obserwatorzy sejmiku, a było ich mało, zachłystywali się w kuluarach nieskażonym folklorem. Czujnie przysłuchiwali się prelegentom, czy aby nie stukną autorytetem bez wyczucia odmiennej estetyki tych widowisk. Nie — zapewniał dyrektor Dubaj — pilnujemy, żeby interweniowali tam, gdzie obligują ich wymogi sceny, przeważnie, gdy za teatr biorą się młodzi inscenizatorzy. Ale też było już czym ucieszyć się w Tarnogrodzie — np. „Lekarzem mimo woli" Moliera w wykonaniu zespołu z Podłopienia (woj. nowosądeckie) i starannie wystawionym „Wyzwoleniem" Wyspiańskiego przez zespół z Mykanowa (woj. częstochowskie).

Rozteatralniony Tarnogród objawił się fajerwerkiem świeżości i spontaniczności, zapewne dlatego, że nikt z przyjezdnych nie miał obowiązku bawić się w teatr, ani tym bardziej utrzymywać się z niego. Wszystko, co zdarzyło się w ciągu pierwszych dni lutego w Tarnogrodzie, płynęło z ochoty i wyłącznie służyło przyjemności. Poza tym było lepsze od telewizora na wsi i od knajpy z wysmoktanym śledziem. A gdyby tak licencjonowani aktorzy lubelscy wybrali się w listopadzie do Tarnogrodu, wyjeżdżając każdy czułby się uskrzydlony zawodowym kacem.

**Anna Bocian**

---

*Tadeusz Chróścielewski*

## DAMA Z ŁASICZKĄ W PUŁAWACH

*Księżna matka w Przyszłości mieniu*
*chowa czule wśród kolumn obsłonek*
*kamień co pozostał na kamieniu*
*po Jerychu ery oświeconej.*

*Księżna córka w imieniu Swych Czasów*
*pisze romans o serc domyślności:*
*wśród grubiaństwa dział serca z atlasu*
*poszukują krynicy czułości.*

*Gaj pomarańcz porażony gromem,*
*płonie bat na Wiśle, choć w kokardach.*
*Na niewoli ból Gotycki Domek*
*chowa balsam — obraz Leonarda.*

*Piękna dama z gryzoniem na ręku*
*zgliszcza śledzi przez ram złote drzwiczki,*
*alegorie krajowego smętku*
*gryzie oczko pażerne łasiczki.*

Puławy 1981

## SENTYMENTALIZM

Te brzóz kilka, bieg tej wody
Jak mi wiele przypomina!
**Generał Ludwik Kropiński**

*Te brzóz kilka, ten bieg wiślny*
*jak mi wiele przypomina!*
*Tu Arkadia serc domyślnych,*
*tutaj mieszkała Malwina.*

*Krzyki pawi, dzwońców szczebiot*
*nad gałkiem pamarańczy,*
*pod łaskawym słońcem niebios*
*orszak dam i dryjad tańczy.*

*W wieczór bacik z kokardami*
*powracał wzdłuż brzóz pergoli,*
*gdzie wróżka za kolumnami*
*wróżyła z baś jak w Tivoli.*

*Wróży czuły los Malwinie*
*(jej los róży ma być losem),*
*Kniaźninowi biedaczynie*
*serce damy kruczowłosej,*

*Kropińskiemu wojakowi —*
*że go łaska muz nie minie*
*i podobnie słowikowi*
*wariacjami strój zasłynie.*

*I wróży z brzozy Sybilla*
*Przenajczulszej z dam orszaku,*
*że pokocha Ludomira —*
*Hektora w ułańskim czaku.*

*I płynęła siwa rzeka,*
*i lśnił czas jak świeczka w wiankach...*
*Pisał Kniaźnin szarapeta*
*o ojczystych pól spartankach...*

*Aż wtem nad Arkadią luna! —*
*w dęby czmycha dryjad grono.*
*Swobodny kraj od pioruna*
*na redutach Pragi spłonął.*

*Wylał pół-hektor Kropiński*
*mało-wiele krwi szkarłatu,*
*zmalał kraj-park sybilliński*
*w domek szczytnych eksponatów.*

*Kajdanami obłok dzwoni,*
*krwią się bruka Wisły fala...*
*Malwina łzę czułą roni,*
*a Kniaźnin — malhereux! — oszalał.*

Puławy 1981

*Tadeusz Karabowicz*

## OJCZYZNA

*wiosną znowu*
*kaczeńce zapalają się na łąkach*
*czas apokalipsy skryje się*
*w zielonych ubraniach przyrody*
*znowu brzozy całowane w usta*
*nabiorą rumieńców młodych panien*
*znowu olchy całowane w piersi*
*nabiorą otuchy na nową miłość*

*wiosną*
*słońce przedrze się przez sitowia*
*i zobaczy gniazda wyścielone w marcu*
*i zarumieni się po sadach*
*i zatańczy po kościołach*

*wiosną*
*wróble zdziobią ostatnie plastry śniegu*
*w zaloty staną leszczyny*
*i zapach pościeli*
*rozniosą hen dziewczyny*

* * *

*mówiłem wiośnie że ją kocham*
*a ona wiedziała że tylko chcę całować jej usta*
*młode i pierwsze*
*spałem z wiosną*
*a ona wiedziała że to tylko dla sprawdzenia*
*Pieściłem szaleństwo włosów wiosennej*
*dziewczyny*
*a ona myślała że to prawie wszystko na świecie*
*obiecywałem że zamieszkamy razem*
*a ona myślała że jeden stół dwa krzesła*
*to już i tak dużo do wspólnej modlitwy*

* * *

*odmienią się nam jeszcze*
*zatory na roztopach*
*zrudziałe liście*
*nabiorą koloru dostałego mirtu*
*dostojne drzewa*
*nowymi barwami zakwitną*
*między lasem przemknie się ktoś nieznajomy*
*odmienią się nam*
*czarne skrzydła chmur*
*odmienią się soczyste łodygi*
*wilczych zarośli i zawilczej samotności*

*a my czy w tej odmianie skruszeni*
*a my czy w tej odmianie w trop*
*za wiosną*
*czy tylko tak by się nam zdawało...?*

## IWASZKIEWICZ

*podobno do remontu dano dom Twój stary*
*i wiatr roznosił resztki sczerniałego pisma*
*i ktoś nocą skrzypiał po parkietach*
*i biały koń rżał bez uzdy przy spalonej studni*

*tam Bóg wiersze pisywać pozwala*
*i chadzać można po ogrodach nieba*
*lecz nigdzie uciec*
*nigdzie zbiec zatrzymać się lub nawet zasnąć*

*w szufladach znaleziono resztki zblakłych listów*
*nad którymi nikt nie potrafi płakać*
*zające w sadzie obłupały korę*
*w zmurszałej pościeli nie ma już zapachu*
*wiosną*

*więc teraz dom Twój stary opuszczony stoi*
*i resztki wierszy wiatr nocami kłosi*
*i pęki liter pająk snuje w kątach*
*i grudki śniegu Bóg do nieba znosi*

* * *

*niech będą pochwalone*
*pierwsze kwiaty w rannej rosie*
*i chory Pan Jezus pomalowany na biało*
*niech będzie błogosławiony*
*wiatr któremu sprzeniewierzyły się kaliny*
*i ręce lasu trzymające wronie siedziby*
*błogosławiona sadzawka*
*w której wnętrzu dopala się*
*miłość żabiego kochania*
*i kornik w wieczerniku kory*
*niech będą pochwalone źdźbła trawy*
*skurczone w zeszłorocznych sukienkach liści*
*i wysoka woda*
*po której ptaki do rozpoznania trudne*
*bo zbyt daleko*

# Drapacze chmur w Lublinie?

Dokończenie ze str. 1

— „Spółdzielca"? No, to jest ciekawa sprawa. Właściwie mogę powiedzieć, że „Spółdzielca" to Araszkiewicz. Kto to jest? Bez żartów! Każdy, kto ma coś do czynienia ze spółdzielczością mieszkaniową, wie, kto to jest Araszkiewicz. Prezesuje spółdzielni od ponad dziesięciu lat i postawił ją na nogi. Dla „Spółdzielcy" gotów jest na wszystko. Nawet, kiedy to się ociera o granicę legalności. A siłę przebicia to on ma, daj Boże każdemu. Czy go lubią inne spółdzielnie? A kto lubi lepszego? Zresztą, jak się zdarzają konflikty interesów, to kto polubi rywala? Weźmy choćby tę sprawę Osiedla „Nad trasą". Pod budowę Trasy W-Z wywłaszczono wiele domków jednorodzinnych, bud chałupek itd., a także tereny ogródków, działek. Rzecz w tym, że nie wszystko zostało zagospodarowane i, na przykład, w okolicy ulicy Junoszy, na skarpie wznoszącej się nad obwodnicą, pozostał teren zupełnie wolny. Łąka. Podobno Araszkiewicz jechał samochodem i zobaczył z trasy ten teren. Nie mógł uwierzyć, że taki znakomity kawał ziemi stoi od lat odłogiem i nikt nic na nim nie buduje. Szybko ustalił, że jest to teren rzeczywiście wolny: wywłaszczony, bez lokalizacji dla jakiegokolwiek inwestora. Bez trudu uzyskał lokalizację i zaczął zwozić materiały (w międzyczasie „Inwestprojekt" w rekordowym tempie wykonał projekt osiedla). I wtedy zaczęła się awantura, bo inne spółdzielnie nagle się „obudziły". Szczególnie „przebudzenie" to było ciężkie dla spółdzielni, która ma swoje osiedle dosłownie o kilkaset metrów w kierunku stadionu „Lublinianki". Rozpoczęły się interwencje w Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej, ale było już „po zawodach", bo Araszkiewicz oprócz lokalizacji miał także akty notarialne i teren mógł mu odebrać jedynie premier... Cóż, ja bym powiedział krótko: Araszkiewicz to menadżer w zachodnim stylu (choć wiem, że to dziś „niemodne" określenie). Dodałbym do tego świetną współpracę zarządu „Spółdzielcy" z radą nadzorczą której przewodniczy Mieczysław Kamiński co w naszej pracy jest więcej niż połową sukcesu.

Opinia kolejna. Pracownik Miejskiego Zarządu Gospodarki Terenami:

— O, to jest dużej klasy „gangster", w pozytywnym rozumieniu, ale „gangster". Bierze tereny trudne zdegradowane, z ruderami. Takie na których cykl przygotowawczy trwa długo, minimum te trzy lata. Często, na przykład, kiedy walczy o jakiś teren, ma gotowy projekt budynku, czy kilku, które tam mają stanąć ale... nie ma — drobiazgi — wywłaszczenia. Ryzykuje, ale w chwili, kiedy już to wywłaszczenie wychodzi, wyprosi, wynegocjuje, to jest gotów od zaraz do roboty, bo pod te projekty kontraktuje także moce wykonawcze przedsiębiorstw. Jak mu na jakimś terenie zależy, gotów jest poruszyć niebo i ziemię.

I dalej. Dyrektor jednego z wykonawców budujących dla „Spółdzielcy":

— Araszkiewicz? Duża kompetencja w sprawach spółdzielczości mieszkaniowej i budownictwa. Bardzo wymagający i rzeczowy partner, potrafiący zarazić wykonawcę do swoich koncepcji, co jest tym bardziej „dziwne", że te koncepcje daleko odbiegają od zamówień typowych, a często także od zasadniczego profilu przedsiębiorstwa. Na przykład Osiedle „Nad trasą" buduje Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolnego z Leonowa, a najnowsze szlagiery „Spółdzielcy": budynek przy Alei PKWN i Osiedle im. Berlinga ma budować lubelska „Piecobudowa". Czy nie cierpi przez to jakość? To jest dość naiwne pytanie. Firma, która na co dzień nie robi „mieszkaniówki", zawsze realizuje lepiej projekt nietypowy (a takie głównie ma „Spółdzielca") niż przedsiębiorstwo „klepiące" latami OWT. Dlaczego tak? To proste. Po pierwsze, chce się pokazać, że potrafi coś innego i nowego. Po drugie, nie jest „rozpuszczone" budowaniem mieszkaniówki (co wiedzą najlepiej prezesi spółdzielni, próbujący wyegzekwować od wykonawcy już nie jakieś zmiany w projekcie, ale choćby tylko — jakość roboty). Tak więc współpraca z Araszkiewiczem daje także możliwość ciekawszego budowania, co — wbrew opiniom i pozorom — nie jest wszystkim budowlanym obojętne.

I ostatni sąd. Jego „nadawca" chciał się zakładać, że nie ujrzy on farby drukarskiej i światła dziennego.

— Nie mów mi pan o nim. Ten Araszkiewicz i „Spółdzielca" muszą być kryci bardzo wysoko, im się wszystko udaje. No, ale Araszkiewicz pracował przecież kiedyś z Kukuryką...

Nie komentując meritum wypowiedzi, wypada zauważyć, iż z ministrem Stanisławem Kukuryką pracowało trzy czwarte starszych lubelskich działaczy spółdzielczości mieszkaniowej. W tym i tacy, którym się nie bardzo udaje...

Przed wizytą w „Spółdzielcy" nagabywałem także członków tej spółdzielni. Nie nagabywałem organów kontrolnych i organów ścigania. W pierwszym przypadku — pozytywna ocena. W drugim — wypada przypuszczać, że też, skoro prezes Araszkiewicz jest jeszcze prezesem.

W taką uzbrojony wiedzę udałem się na spotkanie w sprawie „szklanych domów". Poprzedziły je dwukrotne rozmowy telefoniczne z prezesem, podczas których próbował przekonywać, że „jeszcze nie czas", że „lepiej nie pisać, bo z tego zwykle są kłopoty". Może nie będzie.

SBM „Spółdzielca" nie jest spółdzielnią ani dużą, ani małą. Liczy blisko 2 tysiące członków, z których 1130 mieszka już we własnych (własnościowych i tylko takich) lokalach, a 850 czeka na mieszkania. 24 września 1983 roku „Spółdzielca" ukończył 25 lat, co wskazuje iż jest młodszy od LSM o dwa lata (dla porównania spółdzielnia ta liczy 14 300 członków, z czego 12 019 mieszkających lub z ujętych w planie br.). Członkowie „Spółdzielcy" zamieszkują w trzech istniejących już większych zespołach mieszkalnych przy ulicach: Nadbystrzyckiej, Glinianej i Kwiatowej. W budowie (są już pierwsze efekty) znajduje się czwarty zespół przy ul. Junoszy, czyli wymieniane wcześniej Osiedle „Nad trasą". Pozostałe mieszkania — w pojedynczych budynkach, zwykle w śródmieściu Lublina. Taka jest najkrótsza charakterystyka „Spółdzielcy", któremu od 11 lat prezesuje Zbigniew Araszkiewicz. Sam wynik rekordowy w spółdzielczości mieszkaniowej może nie jest, ale niewątpliwie zmusza do zastanowienia.

Być może w jakimś sensie pomocna może okazać się opinia prezesa, iż

### w Polsce nie ma kryzysu budownictwa mieszkaniowego.

Brakuje natomiast chęci i to wszystko. Swoje twierdzenie opiera on na tym, że kraj nasz jest zasobny w surowce budowlane, które w pełni pokrywają zapotrzebowanie budownictwa. Dobrym tego przykładem może być cement, z którym, jeśli jest kłopot, to taki, komu go sprzedać. Nieco gorzej jest z potencjałem wykonawczym, zależnym głównie od ludzi, pracujących w budownictwie a jeszcze precyzyjniej — od motywacyjnej strony wykonywania tego fachu. Najgorzej zaś z technologią naszego budownictwa, która jest niestety i droga i czasochłonna. Na jej wysokie koszty wpływa fakt dużego „usprzętowienia" budownictwa, konieczności angażowania w pracy ciężkich maszyn, dźwigów itd. W sposób nadto widoczny i odczuwalny wpływa to na koszty budowania, a dla przyszłego mieszkańca — na koszt jednego metra kwadratowego powierzchni (dziś 23 tysiące zł, z czego 10% płatne przed otrzymaniem kluczy do mieszkania typu lokatorskiego, a 20% — do własnościowego; z terminem spłaty pozostałej części — odpowiednio na 60 lub 50 lat). Wynika z tego, że korzystniejsze jest stosowanie technologii tradycyjnej, a jeśli już wykorzystywanie sprzętu, to tylko tam, gdzie to się faktycznie opłaci. Inwestorowi i przyszłym mieszkańcom.

— Ludzie uciekają od „pudełek". Właściwie chcieliby uciec, tylko nie bardzo mogą. Stopień unifikacji naszego budownictwa mieszkaniowego jest zatrważający i jest ona stosowana na skalę niespotykaną nie tylko nigdzie na Zachodzie, ale także w krajach socjalistycznych. W pewnym stopniu staramy się stwarzać jakieś możliwości wyboru, jakieś rozwiązania alternatywne. Nawet w tak trudnych warunkach jak dzisiejsze, możliwe jest i n n e budowanie. Z myślą o mieszkańcach, architektach, urbanistach i wreszcie całym mieście — mówi Zbigniew Araszkiewicz. — W jakimś sensie można to określić ideą „szklanych domów", w pewnym, rozumie się, uproszczeniu i znaczeniu przenośnym.

I właśnie takim poszukiwaniem szansy mają być

### 55-metrowe „koniczynki".

Prezes:

— Nie wiem, czy to dobrze, że wokół naszych wieżowców robi się tyle szumu. Sam pomysł nie jest nowy. Budynki dwudziestokondygnacyjne i wyższe, z przeznaczeniem mieszkalnym, nie są niczym nowym ani w Moskwie, ani w Paryżu. Również i u nas takie są między innymi w Katowicach. Dlaczego w Lublinie? Powodów jest kilka. Przede wszystkim „Spółdzielca" nie ma terenów o większej powierzchni, które pozwoliłyby na budowę osiedla, mimo że takie obietnice mieliśmy, a nawet i lokalizację w okolicy ulicy Kunickiego. Należy zatem wykorzystywać każdy kawałek terenu racjonalnie, czyli „wydusić" z niego tyle mieszkań, ile się da, ale nie zapominając o zastrzeżeniach, które sformułowałem wcześniej. Następnym powodem jest dążenie do przełamania pewnego sposobu myślenia w lubelskim budownictwie mieszkaniowym (dlaczegóż by nie budynki wielokondygnacyjne?!). Z tym wiąże się także chęć ożywienia krajobrazu urbanistycznego. No i także chęć zdopingowania innych spółdzielni do myślenia podobnymi kategoriami.

Nieco szczegółów. Autorką projektu „koniczynki" jest mgr inż. arch. Irena Załuska. Nazwa bierze się stąd, iż w rzucie pionowym budynek, istotnie, bardzo przypomina czterolistną koniczynę.

Tam, gdzie zbiegają się części listka, w jego części wspólnej, znaleźć się ma cały pion eksploatacyjny z windami, instalacjami itd. Natomiast każda odrębna ćwiartka listka stanowić będzie pion mieszkalny. Znajdzie się w nich 108 mieszkań o normatywach od M-2 do M-6. Autorka projektu zadbała, stosując się nb. do życzeń spółdzielni, aby każde z mieszkań miało obszerny przedpokój, garderobę, duży balkon, a także dużą łazienkę i WC. Metraż każdego lokalu sięga górnej granicy normy. I tak M-2 ma mieć 40,3 m kw., M-3 (pierwsza wersja): 49,8 m kw., M-3 (II): 51,7 m kw., M-4: 64,1 m kw., M-6 (I): 101,7 m kw. i M-6 (II): 102 m kw. Pierwsza „koniczynka" ma stanąć przy ulicy Szenwalda i ma mieć 19 kondygnacji nadziemnych i dwie podziemne. W podziemiach, na dwóch kondygnacjach znajdą miejsce garaże i urządzenia techniczne budynku. Na parterze — zespół handlowo-usługowy ze sklepem kioskiem „Ruchu", maglem, wypożyczalnią książek, pracownią ortopedyczną, świetlicą dla młodzieży oraz kompleksem pomieszczeń gospodarczych dla mieszkańców. Pod płytą ulicy Szenwalda przewidziano miejsce na wymiennikownię ciepła pompownię wentylatornię i trafostację oraz sklep „Unitra-Serwis" i zakład fryzjerski.

Oglądając projekt trudno ukryć szacunek dla odwagi architekta który pomyślał zarówno o atrakcyjnej bryle budynku, jak i dużej funkcjonalności. Nie sposób jednak odrzucić pytania o problemy techniczne, jakie rodzi taka realizacja.

— Oczywiście są. Jako podstawowy — mówi prezes — wymieniłbym problem z gazem. W naszym mieście sieć gazownicza pozwala na przesyłanie gazu do wysokości 55 metrów i to w sposób oczywisty limituje wysokość budynku. Na Śląsku instalacja pozwala na wznoszenie wyższych domów, nawet do 70 metrów. Następnym problemem, który musieliśmy rozwiązać, było zaopatrzenie w wodę, w wypadku awarii. Wymagało to zaprojektowania zbiornika na dachu, skąd w razie czego można by czerpać wodę. To też dało się „przeskoczyć". Wbrew pozorom natomiast nie było kłopotów z windami i dźwigami towarowymi. Są u nas w kraju produkowane na szwedzkiej licencji i ich uzyskanie nie jest trudne. Nie jest także problemem wybór technologii. Przy takiej wysokości można stosować tylko technologię monolitu, wylewania szkieletu z betonu i następnie wypełniania go materiałami tradycyjnymi, choćby belitem. Problemem jest co innego. W budowie tak wysokich budynków konieczne jest stosowanie urządzeń ślizgowo-przesuwnych, tzw. ruchomego szalowania. W swoim czasie dziwiono się takim urządzeniom podczas budowy hotelu „Forum" w Warszawie. Są to urządzenia drogie, ale pozwalają na wielokrotne stosowanie. Wniosek jest prosty: nie opłaca się konstruować takich urządzeń do budowy jednego domu, ale przy pięciu staje się to już bardzo opłacalne. Pomijam fakt, że amortyzuje się także dokumentacja. Stąd też zmierzamy do tego, aby otrzymać lokalizację także na cztery kolejne budynki. Trwają rozmowy z prezydentem miasta i kompromis powinien zostać osiągnięty. Rzecz polega na tym, że teren musi spełniać odpowiednie warunki, nie może być podmokły.

Dodajmy, że cykl realizacji pierwszego budynku zamknąłby się w czterech latach, a w przypadku następnych byłby już krótszy. Jest także wykonawca podejmujący się budowy, lubelska „Piecobudowa" (kierowana od kilku miesięcy przez dobrze znanego w mieście inżyniera Longina Zielińskiego).

Tyle można dziś powiedzieć o idei wieżowców „Spółdzielcy". Wydaje się, że pomysł ten powinien być promowany przez władze miasta i to nie tylko przez fakt, że Lublin zyskuje, w jego wyniku, nowe mieszkania. Także z przyczyn, o których wyżej...

Dwudziestopiętrowce nie są jedynym argumentem, w rozmowie z prezesem, za tym, że można budować ciekawiej, lepiej i korzystniej dla ludzi. Przykładem z drugiego końca może być

### osiedle generała.

Chodzi o wspomniane już osiedle, które ma nosić imię Zygmunta Berlinga.

Powstanie ono na trudnym terenie. Podmokłym, zróżnicowanym. Gdzie? W wąwozie ciągnącym się wzdłuż odcinka ulicy Żana, od popularnego „Globusa" do Nadbystrzyckiej. O ile wieżowce potrzebują twardego gruntu pod fundamentami, o tyle okolice „Globusa" wymagają architektury innej. Mniejszej, dającej się wkomponować w ten trudny, lecz ciekawy teren. Takie zadanie otrzymał mgr inż. arch. Andrzej Lis („Inwestprojekt") i wywiązał się z niego z dużym, jak widać z projektów, powodzeniem.

Dane podstawowe. W osiedlu zamieszka 420 rodzin, dla których przewidziano mieszkania w małych domach mieszkalnych (do czterech kondygnacji) i dwóch punktowcach siedmio- i dziewięciokondygnacyjnym. Oprócz tego ma się tu znaleźć 320 garaży, dwa pawilony „Polmozbytu", pawilon ogólnospożywczy, przedszkole, zespół pawilonów rzemieślniczych. Zbocza wąwozu zasugerowały projektantowi rozwiązanie architektoniczne w systemie atrialno-gniazdowym. Takich „gniazd" mieszkalnych, o zróżnicowanej architekturze i wysokości ma być pięć. W każdym po kilkadziesiąt mieszkań. Ponadto cały wąwóz ulegnie zagospodarowaniu, a jego dołem pobiegnie Aleja Parkowa. Nie zapomniano o terenach do rekreacji i wypoczynku oraz zabawy dla najmłodszych.

Jeżeli uda się projekt zrealizować, miasto otrzyma osiedle, którym będzie mogło się pochwalić wszędzie. W każdym razie w ubiegłym roku wmurowano kamień węgielny i akt erekcyjny pod budowę. Jej realizatorem będzie „Piecobudowa".

— Przy okazji chciałbym wyjaśnić pewne plotki, krążące w mieście. W

okolicy „Globusa" nie buduje się luksusowych domów jednorodzinnych dla prominentów. Powstaje natomiast wzorcowe osiedle, które ma pokazać, że nawet na terenie zdegradowanym i, wydawałoby się, nadającym się tylko na motocross, można wybudować coś naprawdę efektownego, funkcjonalnego i dobrze służącego mieszkańcom. Pierwszych efektów spodziewamy się już za trzy lata — komentuje szef „Spółdzielcy".

Innym silnym akcentem architektonicznym w wydaniu „Spółdzielcy" ma być

**zespół mieszkalny przy Alei PKWN.**

Historia tego przedsięwzięcia jest już w pewnym sensie „legendarna". Prezes Araszkiewicz wypatrzył teren znakomicie nadający się do zabudowania, pomiędzy „Pekinem", a punktowcami przy Alei PKWN. Po bliższym rozeznaniu okazało się, że przeznaczony jest on pod budowę przychodni zdrowia i jest własnością lubelskiego ZOZ. Teren pozwalał jednak nie tylko na wybudowanie obiektu lecznictwa otwartego, ale na coś znacznie większego. Po krótkim namyśle prezes zlecił wykonywanie projektu Irenie Załuskiej, a sam wybrał się na pertraktacje do ZOZ. Przedstawił tam propozycję trudną do odrzucenia. W zamian za teren „Spółdzielca" wybuduje służbie zdrowia przychodnię. Nie weźmie za to nawet złotówki, a ZOZ jedynie będzie płacić za dzierżawę pomieszczeń. Początkowo zakładano, że przychodnia będzie zajmować pierwsze trzy kondygnacje budynku, ale później zdecydowano się na umieszczenie jej poza budynkiem ze względu na trudności i zagrożenia zdrowotne, jakie rodziłoby stykanie się chorych z mieszkańcami. Układ jest korzystny dla obu stron: ZOZ otrzyma przychodnię, którą własnym sumptem wznosiłby latami (w perspektywie trudnej do przewidzenia) i na dodatek otrzyma ją za darmo; spółdzielnia zyska 108 nowych mieszkań w centrum miasta.

Architektura zespołu, składającego się z segmentów o wysokości do 11 kondygnacji, znów daleka jest od sztampy typowej „mieszkaniówki" i stanowić będzie niewątpliwie kontrast z sąsiednim molochem, „Pekinem". Jako ciekawostkę warto odnotować, iż na parterze zespołu znajdować się będą warsztaty rzemieślnicze połączone z mieszkaniami. Wykonawcami przedsięwzięcia będą Lubelskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego i „Piecobudowa".

Osobnym tematem, choć doskonale mieszczącym się w działalności „Spółdzielcy", jest

**porządkowanie Rusałki.**

Zgodnie z ideą prezydenta miasta Bronisława Popławskiego, większe i mocno stojące na nogach spółdzielnie lubelskie będą otrzymywać do uporządkowania najbardziej zdegradowane tereny miejskie. Nie czekając na „przydział", pierwszy zgłosił się „Spółdzielca" z... konkretnym wskazaniem na Rusałkę. Każdy lublinianin zna dobrze pejzaż Podgrodzia, Rusałki i schodzącym ku nim od Narutowicza innych uliczek. Czytelnikom pozalubelskim łatwo będzie pojąć w czym rzecz, czyniąc porównanie z filmami przedstawiającymi życie międzywojennej biedoty miejskiej. Walące się kamieniczki, ubikacje w podwórzach, rynsztoki, pompy uliczne itd. W taki właśnie teren ma się „wgryzać" spółdzielnia i zastępować walącą się substancję nową. Projekt przewiduje, że ma tu powstać 300 mieszkań w budynkach tarasowo schodzących ku Podgrodziu, od 3 do 7 pięter.

Również w tym rejonie przy ul. Wschodniej i Zachodniej powstają dwa budynki. W pierwszym z nich 16 mieszkań i przedszkole, w drugim — 54 mieszkania, 47 garaży i również przedszkole.

Doraźnych działań — jak je nazywa prezes Araszkiewicz — „Spółdzielca" miał już dosyć i teraz czas by na

**coś większego...**

Mianem tym określa on własną dzielnicę mieszkaniową lub duże osiedle.

— Nie stoi za tymi oczekiwaniami żaden partykularyzm. Jako spółdzielnia działająca w Lublinie, staraliśmy się dobrze rozumieć potrzeby miasta i umiejętnie kojarzyć je z interesami członków spółdzielni. Stąd też przyjmowaliśmy każdy teren i starali się na nim budować. Były to tereny najbardziej zdegradowane, trudne, wymagające długiego przygotowania. Nigdy przy tym nie narzekaliśmy. Obecnie jednak oczekiwalibyśmy na danie nam szansy rozwinięcia skrzydeł i pokazania, jak można budować na dużym terenie, jakie to otrzymywały inne lubelskie spółdzielnie. Myślę, że byłaby to dla nas swego rodzaju nagroda za porządkowanie miasta, co dla nas nie jest niczym nowym od 25 lat — mówi Araszkiewicz.

Gwoli ścisłości, przed kilku laty wydawało się, że „Spółdzielca" taką szansę otrzymał. Przydzielono mu bowiem tereny po lewej stronie ulicy Kunickiego, ciągnące się w kierunku Drogi Męczenników Majdanka, a mające graniczyć z osiedlem Maki. Po jakimś czasie, kiedy nb. projekt osiedla na 2 tysiące mieszkań był już gotowy, lokalizację cofnięto, tłumacząc to tym, że tereny te integralnie wiążą się z Makami i powinny być zabudowane przez inwestora Maków, czyli PSM „Kolejarz". Zarząd i Rada Nadzorcza „Spółdzielcy" argumenty przyjęli. Po kilkunastu jednak miesiącach okazało się, że tereny są znów do wzięcia. „Spółdzielca" oczywiście reflektował. Minęło kilka następnych miesięcy i tereny po raz kolejny zmieniły „właściciela" (znów „Kolejarz"). Gdyby nie ta przepychanka, dziś byłyby już efekty mieszkaniowe.

— Casus ulicy Kunickiego nie powinien służyć atakowaniu przez nas kogokolwiek i tego nie robimy. Zależy nam na harmonijnej współpracy ze wszystkimi spółdzielniami lubelskimi, a przede wszystkim na pełnym zrozumieniu wzajemnych interesów i korzyści między nami a władzą miejską. Już dziś jesteśmy w stanie wskazać teren, który zaspokajałby nasze potrzeby i ambicje, a nie jest wykorzystany. To będzie następny temat rozmów z prezydentem Popławskim — mówi prezes.

Pora wydaje się stosowna na rozstrzygnięcie obiegowej opinii, a bardziej pytania,

**czy „Spółdzielca" jest lepszy?**

Tak się mówi w Lublinie. I dla wielu czekających na mieszkania szczęściem wydaje się trafienie do tej spółdzielni, mimo iż jest ona wyłącznie własnościowa.

— Wie pan, kryterium: lokatorska — własnościowa traci na znaczeniu i będzie tracić z każdym rokiem. Dlaczego? Weźmy kalkulator... Cena metra wynosi dziś 23 tysiące. Przeciętny metraż w „Spółdzielcy" wynosi około 65 metrów, co daje nam wartość 1 495 000 złotych (przyjmijmy, że półtora miliona). W systemie lokatorskim wkład podstawowy wynosi 10% czyli 150 tysięcy, a reszta kredytu spłacana jest przez 60 lat (720 miesięcy). Daje to kwotę 1875 zł na miesiąc. Jak to wygląda w systemie własnościowym? Pierwsza wpłata dwukrotnie wyższa, czyli 300 tysięcy, a reszta na 50 lat. Wychodzi po równe 2 tysiące miesięcznie. Pomyślmy, co się bardziej opłaci, a otrzymamy w zasadzie jedną odpowiedź: korzystniejszy jest wariant własnościowy. Rzecz wymaga jedynie zmobilizowania większej gotówki, a tę można uzyskać, na przykład, z kredytu bankowego. W zamian otrzymujemy zupełnie inne możliwości rozporządzania mieszkaniem. Dlatego uważam, że formuła własnościowa będzie wypierać stopniowo lokatorską.

Teraz odpowiedź na pytanie, czy jesteśmy lepsi. Przede wszystkim jesteśmy inni. Mamy większą swobodę manewru, bo nie korzystamy z projektów typowych. Odbija się to oczywiście na standardzie mieszkań, które są, istotnie, bardziej funkcjonalne, przestronne i lepiej wykończone. Na przykład każde nasze mieszkanie ma parkiet i nie dopuszczamy innej możliwości. Dobrze rozumiemy się z architektami i wykonawcami. Powiem nawet, że zaraziliśmy ich naszym podejściem i pojmowaniem budownictwa mieszkaniowego. To jest nasz sukces, a i chyba jedyna droga w przypadku spółdzielni o naszej wielkości i specyfice — konkluduje Zbigniew Araszkiewicz.

Przy tej wypowiedzi godzi się sformułować pewną uwagę związaną z faktem, że przeważającą część realizacji „Spółdzielcy" wykonują firmy, których statutowym celem jest budowanie czego innego (np. szklarni, tuczarni czy pieców przemysłowych). Niestety, boom inwestycyjny lat siedemdziesiątych minął. Pozostały natomiast firmy o dźwięcznych nazwach, a także wysokim stopniu „specjalizacji". Z tej jednak „specjalizacji" trudno dziś wyżyć i dlatego, po prostu, trzeba się zająć budowaniem tego, co faktycznie potrzebne i oczekiwane. Dlatego piece mogą poczekać.

W 6 numerze „ITD" z 5 lutego br. Piotr Aleksandrowicz pisał („W pozycji alpinisty"): „Pozycja alpinisty polega na rozpaczliwym wczepieniu się w podłoże w obawie przed opadnięciem w przepaść. Na przykład... zacofania. W pozycji alpinisty ustawiony jest w Polsce każdy właściwie, kto myśli o przyszłości, potrafi spojrzeć dalej niż poza własne biurko (...). Ręce słabną, palce rozchylają się, a na dnie czeka nas świetlana przyszłość III Polski, mocarstwa ziemniaczanego, czołowej siły Piątego Świata". Rzecz dotyczyła elektroniki. Nie widzę przeszkód, by także naszego mieszkalnictwa. Również z tego powodu wybrałem się na rozmowę o lubelskich „szklanych domach".

**Waldemar Piasecki**

# Okolice sztuki

## Ze łba!

BIORĘ do ręki chudą broszurkę katalogową z nazwiskiem „Krzysztof Klępka" na okładce, firmowaną przez galerię „Labirynt 2" BWA i Przedsiębiorstwo Państwowe „Sztuka Polska" w Lublinie, no i czytam takie oto wyznanie tytułowego artysty: „W roku 1978 ukończyłem warszawską Akademię Sztuk Pięknych na Wydziale Malarstwa w pracowni Krystyny Łady-Studnickiej z niemałym bagażem przeżyć (w 1975 roku zawarłem związek małżeński, a rok później przyszła na świat moja pierwsza córka Ewelina). Parę miesięcy przed ukończeniem studiów zostałem asystentem w Pracowni Struktur Wizualnych. (Wtedy moja znajomość z Anią trwała od dwóch lat, z Teresą już od dawna nie utrzymywałem stosunków)".

Jak państwo widzicie, czytam tekst Klępki głośno, choć dotyczy on spraw osobistych, powiedziałbym po staroświecku — intymnych. Ale ja już wiem, że autorowi tekstu, wydrukowanego oczywiście także w wersji angielskiej, chodzi właśnie o możliwie szerokie rozpowszechnienie jego notatek biograficznych, określających postawę artysty w szczególe i człowieka w ogóle. Idźmy więc dalej na tzw. rękę:

„Pierwsza moja wystawa indywidualna miała miejsce w lubelskiej Galerii „Labirynt", to był rok 1980. (Moja druga córka Natalia miała wtedy dwa lata, w międzyczasie spędzałem czas z Zofią, Anną, Elżbietą. Nie chciałbym tutaj wymieniać wszystkich imion ze względów osobistych)".

Okazuje się jednak, że Klępka ma jakieś skrupuły i tylko uchyla nam „rąbka tajemnicy". Wie chyba, jak stary remiecha od dreszczowców, że tym bardziej rozpala naszą trywialną ciekawość. Ostatnie dzieło Marcela Duchampa, ową dioramę „Etant Donées", poczętą u schyłku lat czterdziestych, a zbiegiem okoliczności znajdującą się dziś w Bułgarii, również można było konsumować wycinkowo, przez specjalną dziurkę w obudowie, za którą widniała postać nagusieńkiej damy z lampą gazową w dłoni, na tle pejzażu. Kto spojrzy w dziurę, ten zaraz twierdzi, że myślenie Marcela odpowiada transmutacji alchemicznej. Ciekawe przy tym, co na widok tego obiektu powiedziałby Witkacy, wbrew opiniom naiwnych — z ironią odnoszący się do autora „Fontanny" z 1917 roku. Oddajmy jednak głos panu Klępce:

„Od maja 1983 roku pracuję w lubelskim Biurze Wystaw Artystycznych (tym ostatnim dokonaniom towarzyszyły znajomości z Katarzyną, Iwoną i tu przemilczę jedno imię z powodów wyżej wymienionych, trzecie moje dziecko, syn Jakub, przyszło na świat w styczniu 1983 r.)". I dalej: „Ostatnio dużo myślę o Iwonie — czy potrafię czuć się z nią szczęśliwy, liczę w przyszłości na ścisły kontakt z Grażyną, trudno w tej chwili przewidywać, znam ją dopiero od maja. Następna moja wystawa indywidualna prawdopodobnie odbędzie się w 1984 r. będzie to duży cykl serigrafii".

Przed jednoznacznym skomentowaniem tego tekstu powstrzymują zawarte w nim niedopowiedzenia; trudno byłoby przed sądem udowodnić, że znajomość Krzysztofa Klępki z wymienionymi damami nie ograniczała się np. jedynie do gry w szachy (jak to przez wiele lat czynił Duchamp, porzuciwszy praktyki artystyczne). Dla rozjaśnienia sytuacji sięgam zatem do wnętrza broszurki, wydanej w nakładzie bodaj 300 egzemplarzy, gdzie znajduję fotografie czy ich odbitki kserograficzne. Przedstawiają one w większości: a) gołe miejscami jędrne, dojrzałe jak się patrzy dziewczyny, b) samego Klępkę w towarzystwie onych, a raz to nawet w wannie. Bądźmy wszak sprawiedliwi: poza tym ostatnim przypadkiem grafik odziany jest od stóp do głów, nie powiem — jak sam Wowo Bielicki. Może to kogoś zaskoczy, ale naprawdę ciekawsze są podpisy pod reprodukcjami autorstwa Klępki. Oto niektóre z nich: „Będzie to sztuka dla artystów nie dla mas, dla wybranej kasty nie dla szarego tłumu", „Nie do ciebie należy udzielanie mi lekcji przyzwoitości", „Trzymajcie swoje prawa i moralność z dala od mego ciała", „Kije i kamienie mogą mi połamać kości, ale słowa mnie nigdy nie zranią".

Wszystko jasne: podając imiona licznych kobiet w specyficznym kontekście własnej biografii, eksponując wiadome obrazki z podpisami — Krzysztof Klępka pokpiwa sobie z deontologii, etyki autorytarnej i przedstawia się jako człowiek wolny, nic to, że tyrający na reżimowym etacie. My zaś widzimy, w ideologicznej perspektywie takiego przeświadczenia, sylwetkę Daniela Cohn-Bendita, jednego z przywódców rewolty młodzieżowej we Francji schyłku lat sześćdziesiątych, który „stał się wodzem w swoim środowisku od chwili, gdy wystąpił przeciwko ministrowi do spraw młodzieży z żądaniem zniesienia w domach studenckich ograniczeń utrudniających kontakty seksualne".

Postawa Klępki posiada nawet pewien urok, właściwy jurodiwym, ale czy można to samo powiedzieć o Januszu Bałdydze, który 11 stycznia bieżącego roku dał w lubelskim BWA przedstawienie pt. „Użycie siły"? W jednej z sekwencji owego performance Bałdyga zaatakował cegłówkami własne wizerunki foto- czy kserograficzne, wiszące w przestrzeni, w których czoło naszego animatora pokrywały m.in. następujące znaki: orła identycznego w zarysie z polskim godłem państwowym i krzyża. Dużo było w BWA huku i emocji...

Nie wiem, czy Bałdyga zna pisma Michaiła Aleksandrowicza Bakunina, Herberta Marcusego, wspomnianego Cohn-Bendita czy deklaracje Rudi Dutschego. Wiem natomiast, że w tym swoim niszczycielskim akcie symbolicznego wyzwalania się z różnych ideologii i mitologii, które widać poniewierały jego suwerenne „ja", zapomniał o unicestwieniu dwóch innych znaków przemocy i ograniczeń: smoczka i prezerwatywy.

Mniemam, że po takiej propozycji Bałdyga i moją gębę umieści w osobistym rejestrze rzeczy do rozwałki. Sugerowanie czegokolwiek ludziom wyzwolonym jest bowiem przyjmowane przez nich jako karygodna napaść na niezbywalne prawo owych indywiduów do totalnej wolności. Rozumiecie: totalnej! A więc śmiało, panie Bałdyga, ze łba mnie!

**IJK**

Rys. Zygmunt Fyślik

# BILANS

Dokończenie ze str. 1

Ordynacja wyborcza z 1957 r. przewidywała umieszczanie na liście kandydatów większej liczby osób niż było mandatów przypadających na okręg wyborczy. Prawo zgłaszania kandydatów przysługiwało organizacjom politycznym, zawodowym i społecznym. Praktyka poszła w kierunku zgłaszania wspólnych list organizacji należących do Frontu Jedności Narodu. Ta forma usankcjonowana została w noweli do ordynacji z 1973 r., a następnie ugruntowana we wspólnej ordynacji wyborczej do Sejmu i rad narodowych z 1976 r.

Należy też wspomnieć, że w mechanizmie wyborów istotne znaczenie ma kolejność umieszczenia kandydatów na liście. Jak dotąd, wyborca mógł głosować tylko na tylu kandydatów, ile było mandatów do obsadzenia w danym okręgu. W przypadku pozostawienia na karcie do głosowania więcej nie skreślonych osób niż mandatów — ordynacje przyjmowały domniemanie prawne, że wyborca głosuje na kandydatów zamieszczonych w pierwszej kolejności. Praktyka polityczna masowego głosowania bez skreśleń, brak większego zainteresowania czy nawet wygodnictwo — to wszystko powodowało sytuację, w której wybór kandydatów spoza miejsc mandatowych był rzadkością. Tworzenie takich miejsc w zasadzie przekreślało potrzebę angażowania się kandydatów w kampanię wyborczą. Charakter plebiscytarny, poparcie lub brak poparcia dla programu wyborczego przy redukcji elementów preferencji personalnych, często wysuwanie tych samych osób przez kilka nawet kolejnych kadencji, uwzględnianie tzw. klucza, mającego pomóc w ujawnianiu reprezentacji statystycznej społeczeństwa — takie praktyki powodowały niedoskonałość składu rad, wybieranie radnych biernych, ograniczających się do głosowania na sesjach i nie posiadających autentycznych więzi ze środowiskiem.

Na konto niedoskonałości można też zapisać faktyczny brak możliwości — już choćby ze względu na skomplikowaną procedurę — odwoływania radnych przez wyborców.

Świadomość tych słabszych stron dawnych regulacji sprzyja dziś chęciom zapoznania się z nowymi sformułowaniami. Należy jednak uświadomić sobie, że o kształcie wyborów do terenowych organów przedstawicielskich decyduje zestaw różnych czynników, jak np. założenia ustrojowe, sytuacja polityczna czy nawet ukształtowana praktyka i nawyki, a normy prawne są tylko ich istotną częścią składową.

Wysuwane w dyskusji problemy i propozycje, często bardzo konkretne, zasługują w większości na uwagę. Było ich bardzo dużo, ale z ważniejszych czy bardziej charakterystycznych można między innymi wymienić odnoszące się do kwestii bezpośrednich czy pośrednich wyborów do rad szczebla wojewódzkiego. Zwolennicy wyborów pośrednich motywowali swoje stanowisko troską o większe powiązanie GRN z WRN i wzmocnienie inspirującej roli szczebla wojewódzkiego. Rzecznicy rozwiązań tradycyjnych podkreślali rolę bezpośredniego powiązania radnych z wyborcami i krytykowali tzw. listę obywatelską.

Zwracano uwagę na konieczność stałego powiązania radnych z wyborcami. Krytykowano tzw. zaświadczenia o prawie do głosowania, upoważniające do wzięcia udziału w wyborach nie w miejscu stałego zamieszkania, a tym samym umożliwiające wybieranie nie znanych sobie kandydatów na radnych. Były zdania domagające się okręgów wyborczych jednomandatowych; podkreślano, że wielomandatowość osłabia odpowiedzialność radnych, że w wielu krajach socjalistycznych (np. Węgry, Rumunia, Kuba) istnieją jednomandatowe okręgi wyborcze, w których zgłasza się dwóch kandydatów. Forma ta mogłaby u nas okazać się atrakcyjną nowością, przyciągającą wyborców.

Dużo wypowiedzi odnosiło się do kwestii alfabetycznego układu nazwisk na liście wyborczej. Zwolennicy tego rozwiązania podnosili element zupełnej równości, a przeciwnicy — fakt, że na liście będą przedstawiciele różnych, wspólnie działających ugrupowań i nie można mechanicznie przenosić doświadczeń z wyborów w jednolitych środowiskach, np. z wyborów wewnątrzpartyjnych czy odbywanych w stowarzyszeniach. Niektórzy z entuzjazmem podkreślali rolę „prawyborów", a inni twierdzili, że osłabiają one zasadnicze wybory i że mogą je zastąpić. Postulowano przeniesienie punktu ciężkości wyborów na sam akt wyborczy, a nie na proces wysuwania i wpisywania na listę kandydatów.

Dużo mówiono o tajności wyborów. Wielu dyskutantów uważało, że wejście za kotarę powinno być obowiązkiem wyborcy; zwracano uwagę na istnienie określonego nawyku, a nawet wytworzonego jakby przymusu psychicznego głosowania jawnego i bez skreśleń. Można było wyczuć zapotrzebowanie na autentyczną walkę wyborczą, angażującą kandydatów i wyborców. Wiele osób postulowało konieczność wysuwania kilku tak samo wartościowych — w mniemaniu organizacji zgłaszającej — kandydatów, a zostawienie wyboru — wyborcom. Bardzo krytykowano dawne agitacje przedwyborcze o głosowanie bez skreśleń. Często podnoszono problem konieczności precyzyjnego sformułowania w ordynacji, co to znaczy, że wyborcy zaakceptowali kandydata na radnego. Np. czy wystarczy jedno zebranie z małą liczbą uczestników; czy na tych zebraniach się głosuje, jak kwalifikować różnice zdań między poszczególnymi zebraniami; jaka jest rola na tych zebraniach organizacji zgłaszającej kandydata; co to znaczy, że zastrzeżenia trzeba udowodnić itd. Podnoszono problem zasad tworzenia komisji wyborczych, zestawu organizacji upoważnionych do wysuwania kandydatów, roli PRON. Z reguły popierano rozdzielenie wyborów do rad od wyborów do Sejmu, motywując to m.in. odmiennością problematyki ogólnopaństwowej i lokalnej. Dawano przykłady z organizacji wyborów w innych państwach i możliwości wykorzystania tamtych doświadczeń. Można powiedzieć, że dyskusja poruszyła wielką liczbę problemów różnej rangi i ciężaru gatunkowego.

Wypowiedzi często świadczyły o dużym zróżnicowaniu poglądów politycznych dyskutantów. Słyszało się głosy, że założenia projektu ordynacji osłabiają panujący system polityczny i mogą przyczynić się nawet do zmiany układu sił politycznych. Z drugiej strony twierdzono, że nowy projekt będzie przyczyniał się do utrzymania wygodnej dla scentralizowanego rządzenia niskiej rangi rad, powodując zarazem drastyczne ograniczenie wpływu obywateli na działalność organów przedstawicielskich w terenie.

Dyskusja została podsumowana 14 stycznia na posiedzeniu Rady Krajowej PRON, która sformułowała oficjalne stanowisko wobec założeń projektu ordynacji. PRON stwierdził, że założenia są istotnym krokiem zmierzającym do realizacji umocnienia rad jako organów władzy i samorządu terytorialnego. Ruch poparł zmiany stwarzające obywatelom możliwość autentycznego wyboru spośród kilku kandydatów oraz współuczestnictwa w procesie wyłaniania kandydatów. Rada Krajowa PRON postulowała m.in. umieszczenie na liście wyborczej dwóch kandydatów na jedno miejsce. Postulowała też niewielką liczbę mandatów w okręgu wyborczym, zagwarantowanie tajności głosowania oraz wybory bezpośrednie.

Można stwierdzić, że stanowisko PRON trafnie odzwierciedla oraz godzi tendencje i różne propozycje, jest efektem dążenia do uwzględnienia poglądów większości oraz kompromisowego podejścia do poglądów rozbieżnych.

Problemy „wygrania składu" i osiągnięcia sukcesu politycznego ściśle się w wyborach do rad łączą. W żadnym okręgu wyborczym nie można dopuścić do sytuacji, w której wygrano by wybory formalnie, ale przegrano politycznie. Właściwe opracowanie realnych i przyciągających programów wyborczych musi być traktowane bardzo odpowiedzialnie.

W zbliżających się wyborach nie należy zabiegać o 100-procentową frekwencję wyborczą. To raczej wyborcom powinno zależeć na możliwości wzięcia udziału w tworzeniu własnych rad. Można wspomnieć, że w wielu krajach frekwencja przekraczająca 60 proc. upoważnionych do wyborów uważana jest za przejaw dużego zainteresowania tym aktem. Już tzw. sprawdzanie spisów wyborczych należałoby traktować jako przede wszystkim ułatwienie przeprowadzenia samego aktu wyborczego, jako uprawnienie — a nie obowiązek wyborczy.

Stanowisko PRON zostało uwzględnione w ustawie uchwalonej 14 lutego br. Sejm podkreślił rolę kolegiów wyborczych stanowiących wyraz koalicyjnego układu władzy państwowej oraz konstytucyjną rolę PRON. Będą one płaszczyzną współpracy wszystkich organizacji uprawnionych do zgłaszania kandydatów na radnych. Formuła ustawowa umożliwia uczestnictwo w desygnowaniu kandydatów głównym siłom politycznym, a także organizacjom o różnym charakterze i zasięgu działania, łącznie z samorządem mieszkańców wsi i miast.

Obowiązek wyodrębniania każdego z kilku przypadających na okręg wyborczy mandatów i zgłoszenia po dwóch kandydatów sprzyja realizacji zasady reprezentatywności politycznej i społecznej rad.

Nowa ordynacja wyborcza stanowi wyraz demokratyzacji życia politycznego i społecznego, zapobiegając jednocześnie wolnej grze różnych sił politycznych niechętnie nastawionych do socjalistycznego państwa. Powinna przyczynić się do dalszej normalizacji i porozumienia narodowego.

Przygotowując wybory, należy uwzględniać stan — szczególnie tej bezpośrednio wiążącej się z wyborami — świadomości społecznej. Powinniśmy zdawać sobie sprawę, że prawo wyborcze nie zmienia układu sił politycznych, że decydujące znaczenie zawsze mają racje polityczne. Potrzebna jest świadomość, że większe znaczenie od ordynacji ma program wyborczy oraz ludzie chcący i potrafiący go realizować, a także — że chodzi o wybory do nowych, samorządnych i samodzielnych rad. Społeczeństwo powinno uzmysłowić sobie, że nie są to wybory do Sejmu, lecz do lokalnych ciał przedstawicielskich. Z kolei w obietnicach nie można przesadzać, gdyż łatwo zawieść późniejsze oczekiwania. Zarówno zaangażowany w wybory aktyw, jak i szerokie kręgi społeczeństwa powinny sobie zdawać sprawę, że postęp polega na realizacji postulatów, które często po zrealizowaniu wydają się niedostateczne; linia horyzontu oddala się w miarę posuwania naprzód.

**Jan Szreniawski**

## Ekran i widz

# Pan Piotruś jako Kleks

MALI widzowie otrzymali nareszcie film z dawna przez nich oczekiwany: „Akademię Pana Kleksa" w reżyserii Krzysztofa Gradowskiego, opartą na doskonale nam wszystkim znanych wierszach i wierszykach Jana Brzechwy. Aczkolwiek autor niniejszej rubryki skupia się z zasady na tematyce filmowej poruszającej sprawy całkiem „dorosłe", nie można pominąć tej ostatniej polskiej premiery. Tym bardziej, że problem filmu fabularnego dla młodzieży nabrzmiewa od pewnego czasu coraz mocniej i mocniej. Przy niezwykle bowiem — jak na możliwości polskiej kinematografii — rozkręconej produkcji filmów rysunkowych, z cieszącymi się popularnością w wielu krajach świata „Przygodami Bolka i Lolka" na czele, filmy fabularne dla małych widzów pojawiają się na naszych ekranach tylko od przypadku do przypadku.

Po serii filmów Janusza Nasfetera w latach pięćdziesiątych—sześćdziesiątych (reżyser ten zresztą popadł z czasem w nieznośną sentymentalno-„psychologiczną" manierę) oraz kilkoma udanymi ekranizacjami książek Kornela Makuszyńskiego („Awantura o Basię" „O dwóch takich co ukradli księżyc", „Szatan z siódmej klasy") nastąpiła wyraźna luka. Wypełnialiśmy zapotrzebowanie na filmową tematykę dziecięcą lub młodzieżową dokonując zakupów w innych krajach, często: w Związku Radzieckim lub Czechosłowacji, których kinematografie tak bardzo dbają o swoją młodą widownię. Które polskie filmy dadzą się porównać z „Dziećmi kapitana Granta", „Piętnastoletnim kapitanem", „Białym klem", „Timurem i jego drużyną"? — że wspomnę tylko te tytuły, które mojemu pokoleniu nie dawały usiedzieć spokojnie nad lekcjami. A rosyjskie baśnie filmowe: „Za siedmioma górami", „Sadko", „Czarodziejski kwiat" — z jaką doskonałą znajomością psychiki dziecięcej były kręcone, jak świetnie potrafiły przemawiać do wrażliwości i wyobraźni małych widzów! Dzisiaj jeszcze widzę wyraźnie w pamięci całe długie sekwencje z tamtych filmów. Tak samo jak z amerykańskich „Pięciu zuchów" czy francuskiej „Klatki słowiczej"...

Otóż i problem: na ile dorosły realizator potrafi swoim dziełem wyjść naprzeciw wyobraźni oraz wrażliwości małego (lub młodego) widza? Czy jest zdolny znaleźć ów punkt przecięcia pomiędzy światem dzieci i dorosłych? Na ile reżyser musi być sam „wielkim dzieckiem", kręcąc film, lecz nie sprowadzając się przy tym do poziomu swoich potencjalnych widzów? Rozumiał i potrafił sprostać tym problemom m. in. Walt Disney i właśnie dlatego jego filmy cieszyły się takim ogromnym powodzeniem wśród młodocianej widowni, choć dorośli krytycy nie zawsze wyrażali się o jego dziełach z równym zachwytem.

Nie sądzę, aby nasza młoda widownia przeszła obojętnie wobec „Akademii Pana Kleksa". W osobie Krzysztofa Gradowskiego polska kinematografia zyskała doskonałego — świetnie czującego psychikę i mentalność współczesnego małego widza — realizatora filmowego „świata baśni". I należy tylko życzyć sobie, aby — wzorem wielu naszych reżyserów — po sprawdzeniu się w jednym gatunku, nie porzucił go natychmiast, szukając tematów w dziedzinie psychologii, historii, wojny, erotyki lub polityki.

„Akademia Pana Kleksa" (jest taka urocza wierszowana książeczka Jana Brzechwy) ma w swym filmowym wcieleniu dramaturgię dość luźną. To pozwala na stosowanie wszelakiego rodzaju „chwytów": mieszania fabuły z filmem animowanym lub nawet łączenia animowanych „wstawek" z „żywą" akcją dziejącą się na ekranie. No i zezwala na nieskrępowane buszowanie po całej twórczości Brzechwy wyławianie z niej co najsmaczniejszych rodzynków, które zostają następnie poddane filmowej obróbce przez reżysera i przez samego Pana Kleksa, czyli szefa Akademii dla chłopców-marzycieli, czyli Pana Piotrusia z kabaretu Olgi Lipińskiej — niezastąpionego w tych rolach: Piotra Fronczewskiego. Aktora i piosenkarza, „estradowca" i „tragika" (swego czasu — niezapomnianego, nowatorskiego Hamleta), a ostatnio również współautora Franka Kimono i wykonawcę „Poli Manoli + Coca Coli". Bo oto okazało się, że wszechstronny Fronczewski sprawdza się — jak mało kto — jako partner dziesięcioletnich aktorów, którzy mają tutaj niemało do powiedzenia, obok (ma się rozumieć) „dorosłej" obsady. To oni, wspólnie z Fronczewskim, stepują, tańczą i śpiewają, wykonując „Kaczkę Dziwaczkę", „Na kanapie siedzieli" i szereg innych tekstów Jana Brzechwy, do których muzykę skomponował Andrzej Korzyński. Muzykę „młodzieżową" — jako że „Akademia Pana Kleksa" jest pomyślana jako swoisty „musical", a także coś w rodzaju niezwykłej, fantastycznej „dyskoteki".

Lecz dość na tym! Nie wolno zdradzać baśniowych tajemnic! Idźcie do kina razem z waszymi dziećmi, bawcie się dobrze, a ja ze swej strony dodam tylko, że dorośli spotkają w „Akademii Pana Kleksa" kilka całkiem, całkiem interesujących „wróżek". A także będą się mogli nauczyć od samego Mistrza, jak prostym sposobem powiększyć do niebywałych rozmiarów pieczoną kaczkę. Co w naszych obecnych trudnych czasach jest umiejętnością ze wszech miar pożądaną.

**M. D.**

# O felietonach Andabaty i nie tylko

„LISTY z Palmiarni" (Zielona Góra 1983) Andabaty (Henryka Ankiewicza) to zbiór niezwykle interesujących felietonów, publikowanych poprzednio w „Gazecie Lubuskiej". Jestem przekonany, że miniatury te byłyby chlubą i ozdobą każdego pisma.

Andabata opowiada anegdoty o regionalnych twórcach, opisuje różne zabawne incydenty, a jednocześnie wypowiada niejedną głębszą refleksję. Jest nie tylko kronikarzem cyganerii, gdyż jego zabawne teksty są często najwspanialszym rezultatem różnych imprez czy spektakli. Lokalni twórcy cierpią w dwupoziomowym piekle sztuki współczesnej i sztuki regionalnej zarazem.

W książce przedrukowano przede wszystkim felietony o tematyce kulturalnej. To zrozumiałe właśnie z lokalnego punktu widzenia. W ten sposób powstała jakby brakująca monografia. Poza tym jednak Andabata pisze o wszystkim, bowiem „wszystko" właśnie jest najlepszym materiałem dla felietonisty. Są tu więc felietony interwencyjne, są również miniatury będące właściwie nowelami czy traktatami obyczajowymi. Autor pisze o ludziach zasłużonych i dygotach spod budki z piwem, o życiowych prymusach i pięćdziesięcioletnich sierotach, o polityce, odnowie, emigrantach, o różnych typowych i niecodziennych sprawach. Od drobiazgów, jakby mikrobów życia potrafi Andabata przejść do ważniejszych problemów. Z tego zderzenia się spraw różnego kalibru rodzi się wartość, którą możemy umownie nazwać metaforą felietonu.

A teraz na użytek prasoznawców podam własną definicję felietonu. Otóż uważam, że z grochu i z kapusty naszych pozornie drobnych, codziennych doświadczeń trzeba starać się upitrasić bigos, czyli możliwie zwarty system smaków i kontekstów. Trzeba go odpowiednio posolić, czyli spointować, no i chyba można odgrzewać z numeru na numer, bowiem bigos im starszy, tym lepszy.

Powracajmy do sedna sprawy. Andabata, jak na artystę przystało, dba o pointę. Oto przykład pierwszy z brzegu: „Faraonowie najprawdopodobniej nie wydawali tylu przepisów budowlanych co dzisiejsi ministrowie. Może właśnie dlatego piramidy przetrwały do naszych czasów" (s. 94). Felietonista nie musi być wesołkiem, ale trudno wyobrazić sobie felietonistę pozbawionego humoru. Już same rygory formalne tego gatunku, takie jak zwięzłość, dygresyjność, zmuszają autora do pewnej lekkości pióra. Felietonista musi też być zadziorny. Andabata dobrze wie o tym i dlatego nie oszczędza nawet swego środowiska ludzi piszących.

W kilku felietonach autor odwołuje się do mitu o Ikarze i Dedalu, różnie ich oceniając. Sam jednak Andabata — czyli gladiator walczący na ślepo w hełmie zakrywającym oczy — bardziej przypomina Ikara niż Dedala. W każdym razie bardzo dobrze, że felietonista odwołuje się do odwiecznych mitów.

Do jednego tylko felietonu („Gdyby Hamlet się zestarzał") mam zastrzeżenia natury zasadniczej. Otóż Hamlet zestarzał się. Szekspirowski Hamlet jest tłustym trzydziestolatkiem, dopiero potem różni inscenizatorzy przerobili go na dziarskiego młodzieniaszka, naruszając w ten sposób całą koncepcję sztuki. Szekspirowskim młodzieńcem jest żywiołowy, biologiczny Romeo a nie refleksyjny, zgorzkniały Hamlet. Wszystkich zwodził tytuł królewicza, ale królewiczami bywali często pięćdziesięciolatkowie. Okazuje się, że tytuł działa na wyobraźnię silniej od tekstu.

Wybitni dziennikarze jeszcze na łożu śmierci pisali swoje ostatnie utwory. Andabata zapewnia, że będzie pisał felietony nawet po śmierci „bez względu na to, w jakie rejony zaświatów mnie skierują" (s. 105). Wierzę mu, bo na kłamstwie go nie przyłapałem. To solidna firma.

**Janusz Olczak**

# Poczta literacka

**Józef R. Kraków.** Brrr! Jakiż Pan pesymista, młody, jak sądzę, człowieku! Zgadzam się, że od czasów, gdy Gorki powiedział: „Człowiek to brzmi dumnie", coś niecoś na tym świecie się zdarzyło, co mogło obalić jego twierdzenie. Może jednak tylko podważyło, a równocześnie przyniosło tysiące jednostkowych i zbiorowych przykładów, potwierdzających myśl wielkiego pisarza? Pan z tym polemizuje, ale nie powinien Pan przenosić tego poglądu do każdego własnego utworu.

Odrębną sprawą jest prozaiczność tych wierszy. Wielcy poeci świadomie posługiwali się nieraz i posługują potocznością mowy, ale jaką to u nich, Panie Józefie, spełnia artystyczną funkcję! Zazdrościć tylko. Może dogrzebie się Pan w dawnej twórczości Mieczysława Jastruna rzeczy o walce z analfabetyzmem. Zaczyna się ten utwór od słów:

Ja, Anna Żywioł, która nie umiałam pisać i czytać... Cały ten dość długi wiersz jest przejmujący właśnie z powodu tej prostoty i potoczności, świadomie zastosowanych zestawów wyrazów. Nie chcę powiedzieć, że Pan do tego także nie dojdzie. Na razie, mimo posługiwania się takim językiem, pomimo dość jasnej myśli przewodniej, nie wychodzi to Panu.

**Wanda U. Lublin.** Jest to reportaż wierszowany, posiada intencje patriotyczne, ale nic poza tym. Znajomym i najbliższym, przyznaję to Pani, może się podobać. I dla tego grona może Pani pisać. Na prasę liczyć Pani nie może.

**Maria C. R. Chełm.** Na dalsze teksty nie reflektujemy. Odpowiedź dla Pani Wandy U. odnosi się także do nadesłanego nam utworu.

**Jerzy G. N. Kraków.** Znowu muszę zacytować zdanie z „Drugiego brzegu miłości" Zbigniewa Ryndaka: „Co tu dużo gadać, kiedy nie ma o czym mówić."

**TJ**

# Krzyżówka nr 5

## (na diagramie z „Rohàca")

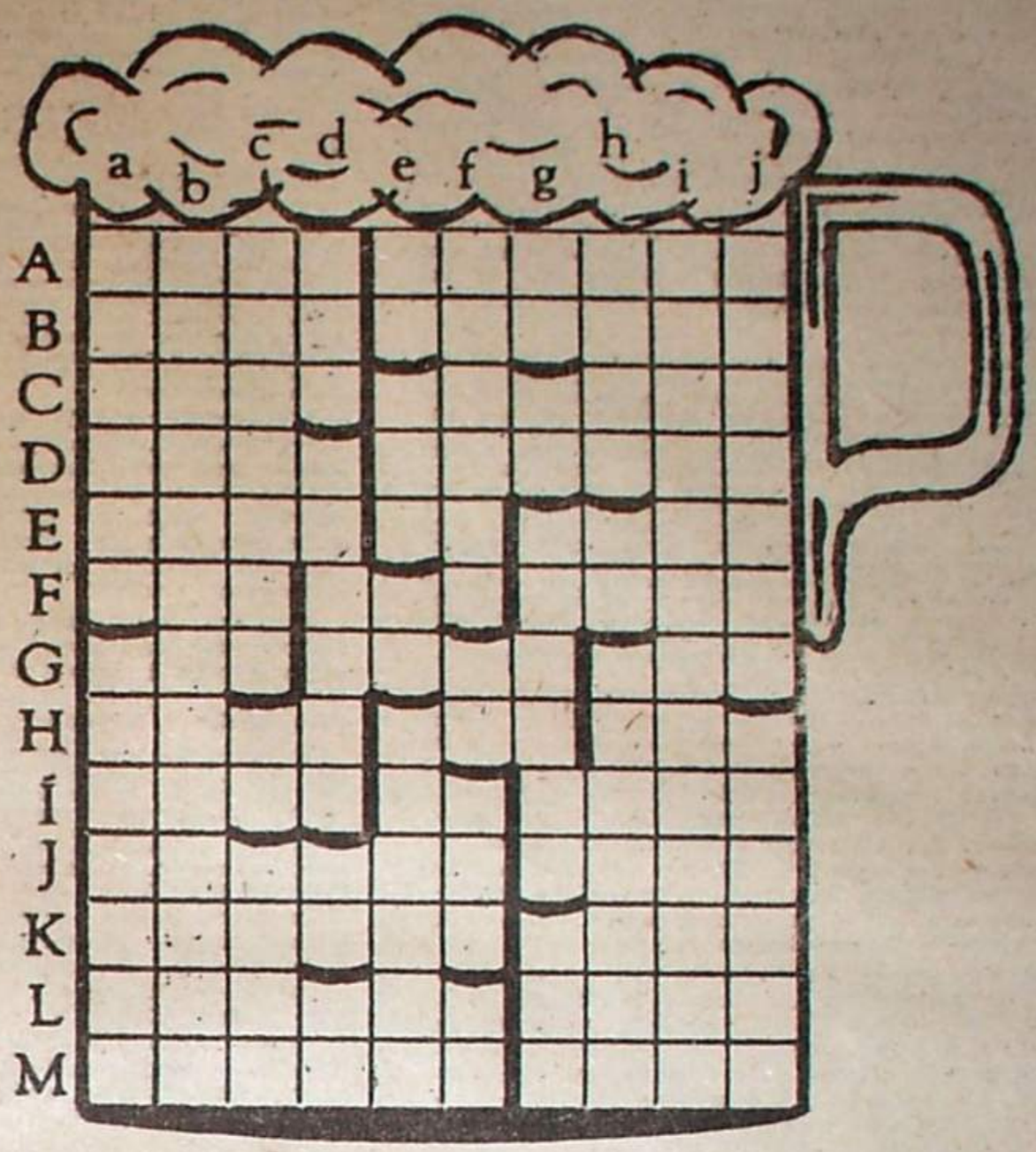


**Do ucha:** A. rozdział Koranu, — pracownik stoczni przygotowujący szablony elementów statku, B. zabity przez Kaina, — odporność psychiczna zespołu, C. koniec wyścigu, — dopływ Narwi i jezioro, D. ssak nazywany pracz, — prowizoryczne budynki, E. dopływ dolnej Warty, — symbol angielskiego cala, — w 1832 r. koncertował tam Maurycy Mochnacki, F. łączy dwa kawałki, — leśny chytrus, — fryzura na Murzyna, G. matka Kronosa, — mały Edward, — coś z włoszczyzny, H. kwas kuchenny, — płynący lód, — słynne uzdrowisko w RFN, I. blizny po operacji, — dwója w skrócie, — przyrząd gimnastyczny, J. wyznaczył orbitę komety Halleya, — glon, K. uchwyt na drzwiach, — teren walki boksera, L. rzeka z powieści Orzeszkowej, — gwóźdź do podkowy, M. stan w Indii, — należący do was.

**Od piany:** a. siła jego tkwiła we włosach, — radziecki bank centralny, b. asekuracja, c. naczynie laboratoryjne w kształcie fajki, — inicjały twórcy Pomnika Lotnika w Warszawie, — kierownica statku, d. bohaterka elementarza, — w lewych rękach malarzy, — hitlerowskie oddziały szturmowe, — konto w księgowości, e. symbol tulu, — jedwabny pas do kimona, — całokształt nieświadomych popędów w psychoanalizie, — zatyka usta uniemożliwiając wydanie głosu, f. powieść, — symbol erbu, — nadużywany w nowomowie przyimek, — symbol sodu, g. miara powierzchni, — stolica starożytnego Sumeru, — haftowany obraz, — południowa część Śląskiego Zagłębia, h. duże pomieszczenie, — fonetyczna nazwa łacińskiej litery phi, — partnerka I. przyciąga żelazo przy pomocy prądu j. komedia Gogola, — opaleni, posiadający oliwkowy kolor skóry.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

**Rozwiązanie krzyżówki szyfrogramu literackiego nr 3**

Dziad mój — rozpoczął anegdotę rodzinną, której pointa była taka, jakiś Medeksza na pogrzebie własnej matki wiokącym się bardzo długo, nie dał biskupowi przemówić nad grobem. — To trudno — orzekł — stypa stygnie.

Tadeusz Breza
„Mury Jerycha"

Nagrodę otrzymuje Marek Wyjadłowski, ul. Ostrogórska 15 m. 6, 41-200 Sosnowiec.

# ARCHIWUM MISTRZÓW ANEGDOTY

*Na jednej z wystaw malarskich znakomity krytyk i tłumacz, Tadeusz Boy-Żeleński, spotkał znajomą z synkiem. Zaraz po powitaniu został poproszony o zaopiekowanie się chłopcem, gdyż znajoma chciała zatelefonować. Chłopak bez przerwy pytał o wszystko. Wreszcie zawołał:*

*— Proszę pana, dlaczego obrazy mają ramy?*

*— Po to, by malarz wiedział, kiedy ma skończyć malować — odparł zniecierpliwiony pisarz.*

•

*Pewien pozbawiony talentu dramaturg zwierzał się przyjacielowi:*

*— Od czasu, gdy przeczytałem Woltera, przestałem pisać tragedie. Takich jak on nie napiszę, a złych wolę nie tworzyć. Przerzuciłem się więc na komedie...*

*— A więc nie czytałeś jeszcze Moliera! — zawołał przyjaciel.*

Wyszperał:
**Ryszard Dunin**

**Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.**

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Czban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 4, tel. 135-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PRWN w Lublinie, ul. Unicka 4.

PL ISSN 0121-7188. Nr indeksu 36251.

Adres redakcji: 20-078 Lublin, ul. Skłodowskiej 5/7.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 255-03, sekretarz redakcji 218-33, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 343. 7.02.1984 r. L-8.

# Konkurs: Dlaczego Bruce Lee? - rozstrzygnięty!

NIEMAŁO emocji i zainteresowania wywołał pośród naszych Czytelników (przeważnie młodych, choć nie tylko) serial pt. „Bruce Lee — prawda i legenda", drukowany w ubiegłym roku w „Kamenie". Otrzymaliśmy liczne telefony i listy z prośbami o nadesłanie brakujących komuś odcinków cyklu, zdjęć, plaktatów Małego Smoka etc. Niestety, życzeń takich — ze względów oczywistych — spełniać nie możemy, nawet gdyby ktoś był na filmie „Wejście Smoka" 63 razy (jak pewien 15-latek ze Świerklańca w woj. katowickim), ani nawet wtedy, gdyby ktoś położył na szali 10 lat swego życia, jak Dariusz K. z Rudnika nad Sanem, który pisze:

„Droga Redakcjo, gdy piszę ten list, wszystko się we mnie trzęsie i gotuje. Dzisiejszy dzień zapamiętam na całe życie, ponieważ w tym dniu dowiedziałem się, że istnieje w PRL czasopismo pod nazwą „KAMENA". W dniu dzisiejszym kolega przyniósł mi do szkoły trzy artykuły tej gazety pt. „Bruce Lee — prawda i legenda" część 1, 6, 8. Powiedział również, że skombinuje mi 7 część, ale reszty nie da rady, chociaż go zaklinałem na wszystko, co jest możliwe. Kochana Redakcjo, interesuję się Brucem Lee ponad rok a więc to nie jest „słomiany ogień"... Najukochańsza Redakcjo dosłownie błagam i bardzo proszę, przyślijcie mi artykuły nr 2, 3, 4, 5. Gdybym mógł, oddałbym za to 10 lat życia (bardzo proszę, nie uważajcie mnie za wariata i fanatyka), gdyż co mi po poszczególnych odcinkach, gdy nie będę miał całości. Błagam, błagam i jeszcze raz błagam. Najdroższa Redakcjo — przyślijcie. Na tym kończę i z utęsknieniem oczekuję".

Co się natomiast tyczy ogłoszonego równolegle z serialem mini-konkursu, to wzbudził on nieco mniejsze emocje i umiarkowane zainteresowanie, chociaż i tak imponuje rozrzut terytorialny nadesłanych odpowiedzi. Obok Lublina — Warszawa, Szczecin, Wrocław, Jelenia Góra, Nowy Sącz, Jarosław, Zamość, Biała Podlaska, Rejowiec... W sumie wypowiedziało się 25 osób w wieku od lat 12 aż po całkiem dorosłych. Z wyjątkiem jednego kontestatora — wszyscy przepełnieni podziwem dla bohatera naszego konkursu.

Janusz Surowiec z Kraśnika stwierdza: „Człowiek studiujący kung-fu, karate, aikido itd. musi nie tylko doskonalić sztukę samą w sobie dążącą do pokonania przeciwnika, ale powinien doskonalić, kształcić i pielęgnować takie cechy charakteru, jak: skromność, prawość, uczciwość, pomoc słabszym, życzliwość... Sylwetka Mr. Lee wskazuje złą drogę wybraną przez tego „mistrza". Jego głównym celem (przynajmniej później) była chęć sławy, zrobienia pieniędzy, a jego styl JKD, nastawiony głównie na jak najszybsze usunięcie przeciwnika z pola walki, w zestawieniu z „filozofią" tego stylu może wywoływać, przynajmniej u mnie, pusty śmiech".

I to jest właśnie owa kontestacja jedyna. Niestety, Janusz nie rozwinął swoich zadziornych spostrzeżeń i musiał odpaść w przedbiegach o główne nagrody konkursu. Obiecujemy natomiast zainteresować się jego idolem — mistrzem Funakoshim.

Ania, uczennica V klasy z Białej Podlaskiej, zakwestionowała jakby naiwność formuły tytułowej naszego konkursu i tutaj nam się dostało:

„Powiem, dlaczego byłam na „Wejściu Smoka" 17 razy. Bo Brusli jest lepszy od Olbrychskiego. On potrafi zafascynować wszystkich moich kolegów i koleżanki. Poza tym chciałam się Was zapytać, ile razy byliście Wy na Bruslim? Jak byliście raz albo dwa, to się wcale nie dziwię, że się pytacie ludzi o tak dziwne rzeczy. Ale mogę Was zapewnić, że jak pójdziecie trzeci albo czwarty raz, to na pewno pójdziecie i dziesiąty. Ja będę tam jeszcze z 15 razy i potem to już sama załatwię mojego wroga — Aśkę. Obserwuję Bruca bardzo uważnie. Znam już jego ciało lepiej niż mapę Polski. Bo ja to się geografią nie interesuję. A Brusiim tak! Nie chcę, abyście myśleli, że ja się w Bruslim po prostu kocham. To jest o wiele poważniejsza fascynacja. Ja nie jestem z tych głupich dziewczyn, co się kochają w aktorach i piosenkarzach".

Skoro już jesteśmy przy paniach, to musimy zacytować wypowiedź „Dozgonnej wielbicielki Bruca Lee" z Lublina, która relacjonuje swe wrażenia z filmu „Wejście Smoka":

„I wtedy stało się. Dostrzegłam uroki osobiste Bruca. Jego wdzięk, delikatny uśmiech, przepiękne oczy, czarujące usta, piękną sylwetkę, a Jego siła i sprawność jest trudna do opisania. Słowem cudo! Nigdy nie przypuszczałam, że mężczyzna, do tego nieżyjący, zdoła tak poruszyć moim sercem. Owszem, podobali mi się piosenkarze, aktorzy sportowcy, mam wielu kolegów, ale żaden nie zrobił na mnie tak piorunującego wrażenia jak Bruce... Nie przesadzę ani na jotę, jeśli stwierdzę z całą stanowczością, że od czasów II wojny światowej Bruce stał się największym wydarzeniem".

Ma chyba rację Waldemar Tumir z Lubania, który pisze: „Niejednokrotnie próbowałem zrozumieć przyczyny fascynacji dziewcząt „Wejściem Smoka" i zawsze dochodziłem do wniosku, że u dziewcząt występuje potrzeba silnego mężczyzny, a że chłopcy z ich otoczenia nie spełniają tych aspiracji to inna sprawa podlegająca prawom naszego pokolenia".

Waldemar ma słuszność podwójną, pisząc o słabowitości chłopców z jego generacji. Oni niekiedy dygocą i mdleją w zetknięciu z postacią (filmową jedynie!) Bruce'a Lee. Oto fragment listu Darka z Niedrzwicy Kościelnej:

„W Bruce Lee było coś niezwykłego, gdyż oglądając jego film „Wejście Smoka", w kilku momentach myślałem, że zemdleję. To nie jest kłamstwo. Czułem się jakby zahipnotyzowany jego wyrazem twarzy, wzbudzał we mnie przerażenie... Jestem jego wielbicielem, pokochałem go jak brata. Jest najwspanialszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek ujrzałem. Nie dziwię się, że nazywany jest Mesjaszem Tłumów".

Na szczęście dla dziewcząt „Dozgonna wielbicielka" dodaje przytomnie: „Miłość, aczkolwiek do nieżyjącego Bruca Lee, mobilizuje mnie do nauki. Kiedy, ucząc się, co chwilę spoglądam na jego plakat wiszący w moim pokoju, oprawiony w ramki, nabieram chęci do wszystkiego, wtedy wszystko wydaje mi się tak samo piękne jak on, co w dzisiejszych ciężkich czasach jest nam wszystkim potrzebne".

To, że miłość do idola może pomagać zakochanym w nauce, godne jest o tyle podkreślenia w tym przypadku, iż — niestety — nie zawsze tak musi być, o czym świadczy ortografia niektórych wypowiedzi konkursowych.

Tak czy owak okazało się, że większość uczestników konkursu nie zrozumiała „odbrązowiających" intencji naszego serialu. Uproszczony, szlachetny bohater fikcji filmowej z „Wejścia Smoka" przesłonił im realną sylwetkę Bruce'a Lee i powikłany życiorys idola.

Sporo osób widzi w swoim bohaterze przede wszystkim niebywałą sprawność fizyczną, perfekcyjne opanowanie chwytów w walce. „Człowiek o nadludzkiej zdolności i zwinności" — pisze o nim Bogdan z Siennicy Nadolnej (nie pojmujemy natomiast, co znaczy, że Bruce „był jednym z największych wielbicieli, wielbicielek i wielbicielów"?). Te „nadludzkie" moce rodzą potrzebę naśladownictwa.

Charakterystyczna jest tutaj wypowiedź Wojciecha D. z Wrocławia:

„Po wejściu na ekrany filmu „Wejście Smoka" tysiące młodych ludzi zapragnęło ubrać się w kimona i spróbować własnych sił. I w ten sposób kluby wschodnich stylów walki wręcz zostały oblegane przez chętnych... Po prostu chcieli być tak wspaniale wysportowani, silni i niepokonani jak Bruce Lee. Czyli motywem tego jest nauczanie się stylu Bruce'a Lee, a faktycznie chęć przyswojenia sobie jakiegoś skutecznego ciosu".

Niechby sobie ćwiczyli, jeśli nie mają nic lepszego do roboty, byleby — jak apeluje m. in. cytowana już „Dozgonna wielbicielka" — „swoje zdolności prezentowali w odpowiednim miejscu i okolicznościach, tzn. tylko na treningach". Że nie zawsze tak bywa, świadczy rozsądny list Jacka Ł. ze Świdnika: „Zauważyłem jednak, że ich zainteresowanie polega głównie na chęci nauczenia się skutecznej walki, która pozwoli imponować kolegom, a nawet wykorzystać tę przewagę w pewnych sytuacjach... Właśnie to mnie razi, że w sekcjach karate (przez rok ćwiczyłem karate, następnie dwa lata taekwon-do) tak małą uwagę przykłada się do filozofii i ćwiczenia charakteru, a przecież Bruce Lee pokazał, że są to nieodłączne rzeczy; tak mało ćwiczy się siłę woli i opanowanie".

I z tą wypowiedzią przechodzimy do najbardziej pocieszającej grupy listów, aczkolwiek autorami ich są nie tyle „naśladowcy", co „podglądacze" idola. Ci powiadają, że — obok młodości, siły fizycznej i mistrzostwa w walce — Bruce Lee uosabia takie cechy, jak: „zwalczanie zła we wszystkich przejawach nie tylko za pomocą uderzenia pięścią lub nogą, lecz również mocą energii wewnętrznej", „silna wola i upór", „umiejętność zwyciężenia samego siebie, swojej słabości", „siła charakteru", „dobroć i sprawiedliwość" etc.

Trochę nas tylko martwi podejrzana lakoniczność wypowiedzi w tej grupie listów, pisanych jakby pod przewidywane zamówienie redakcji, ów powierzchowny „smrodek dydaktyczny" w odniesieniu do typowo przecież rozrywkowego filmu. Dlatego na oddzielne potraktowanie zasługuje cytowany już list Waldemara Tumira z Lubania, nie odbiegający wprawdzie zanadto od schematu, ale odznaczający się pewnym dystansem do sprawy, odrobiną obiektywizmu i refleksji, zrozumienia dla kompensacyjnych funkcji filmu. Oto fragment listu:

„Człowiek współczesny czuje się zagubiony i nieważny wśród cudów techniki naszego stulecia... Pojawienie się bohatera, który potrafi w przeciągu 89 minut, gdyż tyle trwa projekcja „Wejścia Smoka", dokonać tylu niebywałych rzeczy, graniczących wręcz z ludzkimi możliwościami, powoduje zainteresowanie lub fascynację głównym bohaterem. Bo co tu dużo ukrywać, każdy z nas, w większej lub mniejszej części, chciałby być takim Brucem Lee, który bezpardonowo załatwia obrachunki ze swoimi przeciwnikami, a co najważniejsze, walkę tę toczy w obronie słusznej sprawy i pod osłoną prawa. Pojawienie się bohatera, który jest jakby żywcem wyjęty z młodzieńczych marzeń każdego człowieka o energii i sile fizycznej, stanowi jakąś formę rekompensaty i podbudowania samopoczucia widza. Pośrednim powodem fascynacji Brucem Lee na naszym gruncie są także przyczyny związane z konkretną sytuacją w kraju, która sprawia, że młodzież czuje się skrępowana, nie mająca wpływu na żadne decyzje, także na decyzje o sobie, o własnym ja". Prócz pewnej dozy młodzieńczej przesady są też w tym liście ton i sens, zmuszające do zastanowienia.

**A oto lista laureatów konkursu. Trzy równorzędne nagrody (po 1000 zł) otrzymali: Bogusław K. Kowalski ze Szczecina, Elżbieta Rybak z Lublina oraz Waldemar Tumir z Lubania. Wyróżnienia (po 500 zł) otrzymali: Jacek Ł. ze Świdnika (prosił o niepodawanie nazwiska) oraz Janusz Surowiec z Kraśnika. Obszerne fragmenty wypowiedzi B. K. Kowalskiego i E. Rybąk opublikujemy w następnym numerze „Kameny".**

**Red.**

## Życie towarzyskie i uczuciowe

# Ten najlepszy

TRZEBA zacząć od tego, że „Kamena" zapragnęła mieć raz w miesiącu rzetelny donos ze stolicy. Zaproponowano to zajęcie mnie (nie wiadomo dlaczego, na oczy z redakcją się nie widzieliśmy?!), i dobrze trafiono, bo kiedyś w końcu donosić trzeba zacząć! Trzeba przynajmniej spróbować, o czym informuję nie bez powodu (jakby mnie zabrakło, wiadomo będzie dlaczego).

Przejdźmy teraz do teorii donosu. Przynajmniej ten pierwszy musi być celny i wyczerpujący. Dlatego długo się zastanawiałem, o kim to ma być? A musi być o Kimś, o postaci nietuzinkowej, powszechnie znanej i godnej. Przy takim założeniu, nie ulega dla mnie wątpliwości, iż Tym Najlepszym może być tylko jeden człowiek, nestor mojego zawodu — Mieczysław R. Olbromski, ozdoba łamów tygodnika „Rzeczywistość".

M. R. O. z powodu zaawansowanego wieku nie rusza się z Warszawy dalej niż do Świdra, na plażę nudystów (także w zimie), więc opis trzeba zacząć od portretu pamięciowego.

Jak sobie przypominam, M. R. O. jest siwym staruszkiem o ujmującym wyrazie twarzy. Mieszka w ekskluzywnej dzielnicy, za sławną Żelazną Bramą, tam też pracuje w swej gustownej pracowni.

Od czasów Janiny Porazińskiej jest Mieczysław R. Olbromski najsławniejszym polskim bajkopisarzem.

Twórczość jego cieszy się olbrzymim wzięciem, co nie może nikogo dziwić, bo zwyczajny człowiek pracy lubi poczytać sobie o świecie piękniejszym od tego, który go otacza. W dodatku M. R. O. pisze bajki dla dorosłych, a to gatunek twórczości prawie wymierający, i nic dziwnego, że „Rzeczywistość" czyni wszystko, by nie zniechęcić zacnego autora do coraz to nowych publikacji.

Jak każdy beletrystyk, tak i Olbromski ma „swój" Wielki Temat Ku Uciesze PT Czytelników; tematem tym są kobiety we wszystkich możliwych wcieleniach. Są to — nie muszę tłumaczyć — na kartach tej prozy istoty o pozaziemskich walorach i przymiotach. Nie mogą być zresztą inne, bo — jak już wiemy — Olbromski jest bardzo już mocno stareńki, kobiety z jego pokolenia dawno wymarły, a osobiste doświadczenia szaleństw z ich udziałem, przykrył całun niepamięci. Nie przejmując się tym naturalnym defektem, M. R. O. buduje coraz to wymyślniejsze fabuły.

Kobiety w jego bajkach są, niestety, zawsze upadłe. Upadają one w ramionach mężczyzn cynicznych. Mężczyźni ci są z zawodu albo szulerami, albo badylarzami, albo prywaciarzami, albo reemigrantami z USA, a całkiem ostatnio są Arabami, a nadto szejkami, dyplomatami, eunuchami i pederastami. Nie muszę tłumaczyć, że ta wielość postaci pozwala pisać Olbromskiemu bardzo szybko i w związku z tym rekord J. I. Kraszewskiego jest w poważnym niebezpieczeństwie.

Oczywiście nie wszystko w bajkach M. R. O. jest efektem konfabulacji. Pisarz uważnie czytuje prasę codzienną i periodyczną. Umiejętność czytania pozwala mu na wplatanie w wartki tok akcji fabułek gotowych, cudzego autorstwa wcześniej rozpowszechnionych. Niekiedy takie zabiegi twórcze stawiają naszego bohatera w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Pisze na przykład Olbromski o niecnych praktykach postaci z osławionego „Dziwexu", a stołeczny sąd powszechny uniewinnia wszystkich oskarżonych w tej ponurej sprawie z zarzutu handlu żywym towarem, podnosząc w dodatku w ustnym uzasadnieniu wyroku niewątpliwe nadużycia prowadzącego czynności śledczej. Słowem — kompromitacja, a tymczasem nowe dzieło Olbromskiego już jest gotowe już w rozpowszechnianiu. I zaraz niechętni tej Porazińskiej w pantalonach rozgłaszają, że M. R. O. to kłamca, zmyślacz, autor „brukowy". Staruszek krytyki te znosi bardzo źle, cierpi na manię prześladowczą i boi się opuszczać swoją literacką samotnię. Dopiero późną nocą ośmiela się wyjść na ulicę. Wiem, bo spotykam go często w aptece leków gotowych przy ul. Zielnej, gdzie zaopatruję się w witaminy a M. R. O. w środki nasenne. Apteka na szczęście, zaopatrzona jest nieźle, więc staruszek po przespaniu doby, nabiera nowej ochoty do życia i szparko zasiada do nowej powieści upiększającej rzeczywistość. W pamięć zapadło mi ostatnio jego dziełko o „Spatifie", czyli ciągle jeszcze ekskluzywnym byłym Klubie Aktora (tak, jak „22 Lipca" to „d. E. Wedel"). Czegóż to M. R. O. o tym „Spatifie" nie wypisuje! A to dziwki tańczą po stołach, a to aktorzy je obmacują, a to niesłuszni milionerzy opłacają te orgietki forsą, którą powinni zwrócić państwu w postaci domiaru.

A jak jest naprawdę? Dziwki nie uświadczysz; ostatni aktor pojawił się w b. Klubie pół roku temu, a milionerom wybitnie nie pasuje towarzystwo.

Najgorsze zaś jest to, że sam M. R. O. ma tam zakaz wstępu, czyli „szlaban", chodzi w zastępstwie do café „Dorotka", gdzie też nie ma artystów i milionerów, więc sędziwy literat nieustannie musi poprawiać rzeczywistość.

Jak z tego widać, niełatwo być Najlepszym. I jak tu udawać Hłaskę, kiedy emerytura na karku i niemal wszyscy zamykają drzwi przed nosem?!

Następnym razem o karierze spełnionej: pani Anny Kłodzińskiej.

**Janusz Atlas**